

misje

SERCAŃSKI MAGAZYN MISYJNY

NR 2(4) 2023

EGZEMPLARZ BEZCENNY

Pomoc z serca dla serca

– ADOPCJA MIŁOŚCI W BOLIWII

s. 6

Skazani na biedę

– O MARTWEJ POMOCY W AFRYCE

s. 34





Kupując wodę przez stronę:

www.wodazmisja.pl

wspierasz budowę studni głębinowych
w pustynnym Czadzie.

Producent wody

Staropolanka®

od każdego zamówienia przekazuje 10%
na rzecz budowy studni w Afryce.

Minimalne zamówienie to jedna paleta,
czyli np. 504 butelki o pojemności 1,5 l.

Dlaczego Afryka jest biedna? Jak wygląda rzeczywistość dziecka dorastającego w dżungli? Czy kultura macho i przemoc seksualna wobec kobiet w Ameryce Południowej mają wspólny mianownik? Czy trud życia w albańskich górach wyrzyty jest na twarzach tamtejszych mieszkańców?

Odpowiedzi na te pytania nie są jednoznaczne, a często zależą od punktu widzenia i osobistych doświadczeń osoby, która na nie odpowiada. Na łamach czasopisma „MISJE” podejmujemy wiele trudnych, a czasem niewygodnych tematów, ale to właśnie one wzbudzają emocje i sprawiają, że nie przechodzimy wobec nich obojętnie.

Obojętność zabija. Zabija nie tylko człowieka leżącego na ulicy, którego mijamy bez żadnej reakcji. Zabija także wrażliwość naszego serca, stworzonego do kochania, dzielenia się sobą i tym, co mamy. Nie bez przyczyny Marian Turski, ofiara holocaustu, na słynnym przemówieniu podczas obchodów 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz zaproponował XI przykazanie: „Nie bądź obojętny”. Osobiście uważam, że jest to przesłanie odpowiednie na nasze czasy, w których indywidualizm i osobisty dobrostan stały się jednymi z najważniejszych wartości.

Mam wielką nadzieję, że i tym razem prezentowane przez nas artykuły będą impulsem do zmiany myślenia, poszerzenia horyzontów i jeszcze większej chęci pomocy drugiemu człowiekowi, także temu mieszkającemu na drugim końcu świata.



Dorota Podgórna

redaktor naczelna

DRODZY DARCYŃCY MISYJNI,

tradycyjna prasa papierowa umiera. Tego trendu nie da się odwrócić. Nie ma też żadnej nadziei, że moda czy potrzeby społeczne się zmieniają. Coraz więcej treści publikuje się w internecie, długie teksty odstraszały, częściej pisze się krótko i powierzchownie. Jesteśmy coraz mniej chętni do płacenia za treści drukowane na papierze. My w takich okolicznościach zaczęliśmy wydawać „MISJE – Sercański Magazyn Misyjny”.

Paradoksalnie, im bardziej świat się cyfryzuje, im mniej używamy papieru do drukowania dokumentów, książek, gazet czy listów, tym cieplej przyjmowane są materiały misyjne w formie tradycyjnej. Sądzę, że wydrukowane teksty, którym towarzyszą wyselekcjonowane zdjęcia, pomagają nam lepiej rozumieć okoliczności, w jakich głoszą Ewangelię misjonarze w różnych zakątkach świata.

Pan Jezus w swoim nauczaniu bardzo często posługiwał się obrazami, przenośniami czy porównaniami. Nie tylko mówił, ale również „rysował” treści, które przekazywał. Mam nadzieję, że opublikowane na kolejnych stronach artykuły i grafiki pomogą każdemu Czytelnikowi lepiej zrozumieć świat misji!

ks. Piotr Chwielecki SMC

zastępca Sekretarza Misji Zagranicznych
Księży Sercanów w Polsce

Spis treści



BOLIWIA

Adopcja Miłości

- 6 Pomoc z serca dla serca**
– siostra Anna Kurysz o sytuacji dziewcząt z domu dziecka w Cochabambie

- 13 List Lizbeth**
– podopiecznej Adopcji Miłości

- 14 Polak w Boliwii – o różnicach kulturowych**
– styl życia Boliwijczyków i realia duszpasterskie okiem młodego misjonarza

List misjonarza

- 19 Dzieci w dżungli**
– o tym, jak wygląda dzieciństwo w amazońskiej wiosce

- 22 10 rzeczy, których nie wiesz o Boliwii**
– ciekawostki z misji

RPA

Wywiad z misjonarzem

- 24 Czarno na białym**
– rozmowa Jakuba Talagi z sercańskimi misjonarzami o ewangelizacji w dobie apartheidu

- 30 Miłosierdzie przez duże M**
– działania biskupa Adama Musiałka na rzecz potrzebujących i lokalnej społeczności

POMOC AFRYCE

- 34 Skazani na biedę?**
– Małgorzata Madej w próbie analizy czynników wpływających na trudną sytuację Afrykańczyków

- 40 Pomoc, która nie działa**
– spojrzenie zambijskiej ekonomistki na nietrafione inwestycje w Afryce

Okiem wolontariusza

- 44 Wędka, a nie ryba**
– o skutecznej pomocy w Afryce i projekcie Bezpieczna Mama





ALBANIA

Okiem misjonarza

48 Być misjonarzem w Albanii

– blaski i cienie postugi misyjnej w relacji księdza Jarosława Grzegorzcyka

54 Kraj kontrastów, kraj męczenników

– albański katolicyzm w okresie dyktatury Envera Hodży

UKRAINA

Relacja z wyjazdu

58 Wojna na Ukrainie – relacje świadków

– historie duchownych i świeckich zebrane przez księdza Piotra Chmieleckiego

ZBIERAMTO

64 Warto pomagać!

– podsumowanie projektu „Zbieramto w szkole” i relacje koordynatorów akcji

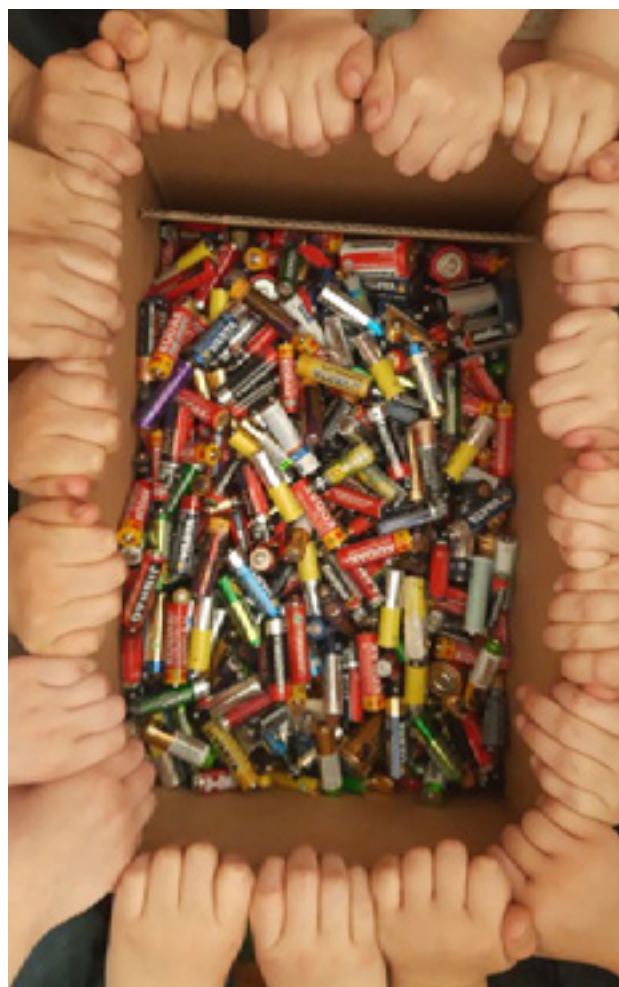
70 „Dobre monety” pomagają dzieciom z Boliwii

– o tym, jak zrodził się pomysł na zbieranie monet i banknotów na misje

Z ŻYCIA SEKRETARIATU

74 Projekty zrealizowane w 2022 roku

76 Intencje mszalne dla misjonarzy



Pomoc z serca DLA SERCA

s. Anna KURYSZ SSCJ

„Pomimo bolesnych doświadczeń i cierpienia, przez jakie przeszły nasze podopieczne, jako Siostry Sercanki staramy się pokazać im, że miłość Boża jest bezgraniczna, że wciąż możliwe jest budowanie królestwa Bożej miłości pośród nas i że każdy może stanąć na nogi i żyć godnie, wsparty Bożą łaską i życzliwością ludzi” – pisze s. Anna Kurysz SSCJ, dyrektorka domu dziecka w Cochabambie w Boliwii.



Hogar de Niñas San Francisco (Dom dla Dziewcząt św. Franciszka) jest dziełem własnym Zgromadzenia Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego, które działa już od 30 lat. Znajduje się w Cochabambie w dzielnicy San Pedro Magisterio. Jeśli spojrzeć na figurę „Cristo de la Concordia”, dom stoi za plecami Chrystusa. Pracują tu dwie Siostry Sercanki boliwijskiego pochodzenia i jedna Siostra Sercanka z Polski.

W domu dziecka mieszkają 72 dziewczynki w wieku od 2 do 24 lat. Są one sierotami lub półsierotami albo mają status dziecka porzuconego. Są tu także dziewczynki, które uciierały z powodu gwałtu i przemocy fizycznej w najbliższym środowisku. Niektóre wywodzą się z odległych ubogich wiosek.

Trudne warunki życia

Boliwia jest państwem słabo rozwiniętym, a co za tym idzie, także biednym. Kraj posiada wiele bogactw naturalnych, ale ze względu na brak specjalistów nie są one w pełni i właściwie wykorzystane. Polityka państwa sprawiła, że ważne stanowiska w kraju należą do zwolenników partii komunistycznej, którzy nie mają wiedzy ani doświadczenia, aby je obejmować.

Cochabamba to region wysokich gór, znajduje się na wysokości około 2600 metrów n.p.m. Ponad miastem wznosi się ogromna figura „Cristo de la Concordia” – Jezusa z rozłożonymi ramionami, który spogląda na miasto (jak w Rio de Janeiro). Na pobliskich polach uprawia się przede wszystkim różne gatunki

ziemniaków, bób, cebulę lub szpinak, gdyż nie wymagają one dużo nawodnienia i wytrzymują niskie temperatury. W odległości około 250 kilometrów od miasta, w części tropikalnej departamentu, uprawia się owoce cytrusowe, banany, papaje, ananasy i jukę.

Bardzo trudno przetrwać zimę (od maja do końca sierpnia), gdyż temperatury spadają do 0°C i jest bardzo zimno. Zasadniczo tutejszy klimat wysokogórski charakteryzuje się tym, że rano i wieczorem jest chłodno, a w ciągu dnia bardzo gorąco. Rozpiętość temperatur w tym czasie jest ogromna, bo od 0°C rano do 30°C w dzień. Zimą najwięcej dzieci choruje z powodu przeziębień. W domu nie mamy centralnego ogrzewania, więc nie możemy się ogrzać. Piecyki elektryczne nie zdają egzaminu, ponieważ prąd jest bardzo drogi i nie stać nas na to, żeby płacić tak wysokie rachunki.

Ogromną trudnością w mieście Cochabamba i jego okolicach jest brak wody, gdyż blisko nas nie ma źródeł. Brakuje też wód gruntowych, ponieważ od marca do września trwa pora sucha i nie ma żadnych opadów. Kilka lat temu miałyśmy własną studnię głębinową, która zaopatrywała nas w wodę, ale odkąd wybudowano blisko nas osiedle zamknięte dla ludzi bogatych, wykopano tam studnię głębsze niż nasza i straciłyśmy dostęp do wody. W związku z tym jesteśmy zmuszone kupować wodę od



firmy państwowej, odpowiedzialnej za jej rozprowadzanie, a przy tak znacznej liczbie dzieci płacimy wysokie rachunki. W porze deszczowej korzystamy z wody gruntowej, ale ta nadaje się jedynie do prania ubrań i sprzątania domu. Problemy z wodą odebrały nam możliwość prowadzenia warsztatów z uprawy warzyw, gdyż czas deszczu jest zbyt krótki na większe uprawy, a woda pitna zbyt droga, by jej używać do podlewania grządek.

Kulturowe standardy

Kultura i zwyczaje tego terenu różnią się od tych w części tropikalnej i amazońskiej. Ludzie są bardziej zamknięci i nieufni. Nie mają też gestu, by coś podarować biedniejszemu. Może dlatego, że sami muszą bardzo ciężko pracować, żeby zarobić na życie.

Mieszkańcy tego regionu żyją swoimi tradycjami. Ich własne

wierzenia są bardzo mocno zakorzenione i chronione przez prawo państwowe (kult i ofiary składane Pachamamie – inkaskiej bogini ziemi). Tradycje wiary andyjskiej tworzą klimat synkretyzmu z wiarą katolicką i wydaje się, że potrzeba jeszcze wiele czasu, aby ludność tubylcza umiała odróżnić zwyczaje kulturowe od wiary w prawdziwego Boga. Kobiety starsze i te, które żyją w wioskach, używają tradycyjnego stroju, ale zauważa się, że młodzież chce porzucić dawny strój, traktując go bardziej jako część folkloru niż strój codzienny.

W naszym sierocińcu dzieci nie używają już na co dzień strojów tradycyjnych, gdyż szkoła wymaga ściśle określonych mundurków. Stroje ludowe zakłada się jedynie do prezentacji bogactwa kultury boliwijskiej w ramach tradycyjnych tańców. Dzieci należą do baletu folklorystycznego i zgodnie ze zwyczajem tańczą dla Matki Bożej w święto

patronalne kaplicy, gdzie zbieramy się na niedzielną Mszę Świętą.

Pomimo wielu pozytywnych zmian, jakie zaszły już w kulturze andyjskiej, nadal bardzo mocna jest tendencja do spychania kobiety na dalszy plan. Ojciec rodziny nadaje uprzywilejowaną pozycję synowi, a córce nakazuje przede wszystkim wykonywanie prac domowych. Często dostęp do edukacji dla dziewcząt kończy się na sześcioletniej szkole podstawowej lub niepełnej średniej. Wciąż jest jeszcze bardzo dużo przemocy wobec kobiet i gwałtów na nieletnich dziewczynkach dokonywanych przez osoby najbliższe, takie jak: ojciec, ojczym, wujek czy brat. Z tego też powodu przyjmujemy do naszego sierocińca dziewczynki, które po śmierci matki lub porzuceniu znajdują się pod opieką ojca bądź wujka, aby ustrzec je od niebezpieczeństw moralnych.

Pierwsza pomoc

Hogar de Niñas San Francisco w Cochabambie wspiera boliwijskie sieroty od 1992 roku. Nasz ośrodek nie jest instytucją komercyjną, w związku z czym nie mamy pomocy od państwa. Naszym celem jest troska o dziewczynki – małe i dorastające, aby wspierając je na drodze rozwoju psychofizycznego, zapewnić im dostęp do edukacji podstawowej i średniej, kształcenia zawodowego oraz formacji duchowej. Podopieczne trafiają do nas za pośrednictwem księży, sióstr zakonnych i osób pracujących w Caritas,



” Cochabamba to region wysokich gór, znajduje się na wysokości około 2600 metrów n.p.m. Ponad miastem wznosi się ogromna figura „Cristo de la Concordia” – Jezusa z rozłożonymi ramionami, który spogląda na miasto.

które mogą potwierdzić trudną sytuację dziecka.

Pierwszą pomocą, jakiej udziela się przychodzącej dziewczynce, jest pomoc psychologiczna, pedagogiczna i medyczna, gdyż dziecko, trafiając do nas, przeżywa (w zależności od kontekstu rodzinnego) depresję, bunt, głęboki smutek z powodu śmierci najbliższych, opuszczenia czy gwałtu. Stawia się też diagnozę o stanie zdrowia i zdobytym poziomie wykształcenia, aby móc dać jak najlepszą opiekę na nowym etapie życia.

Ponieważ patrzymy na każde dziecko indywidualnie i szukamy

jego dobra, nasze priorytety w całej działalności wychowawczej koncentrują się na: zapewnieniu dziewczynkom trzech podstawowych posiłków, wspieraniu w edukacji (zakup materiałów szkolnych i mundurka), organizowaniu dodatkowej pomocy dla dzieci z trudnościami w nauce, umożliwianiu rozwoju uczniom uzdolnionym, pracy katechetycznej, pomocy psychologicznej, dostępie do opieki medycznej i leków.

Organizacja pracy

Nasz ośrodek ma własne pomieszczenia, ponieważ teren i budynki są własnością zgromadzenia. Nie musimy więc dokonywać żadnych opłat za wynajem. W skład całej infrastruktury wchodzi trzy budynki z pokojami sypialnymi (14 pokoi dla dzieci, trzy pokoje dla siostr i jeden dla wolontariuszki), trzy jadalnie, które jednocześnie pełnią funkcję sal do odrabiania zadań, oddzielny systemem sanitariów, kaplica, kuchnia, dwa pomieszczenia dla zakaźnie chorych (w razie potrzeby) i gabinet psychologiczny.

W utrzymaniu porządku w domu pomagają same dzieci – każda dziewczynka uczy się sprzątać, pracować ręcznie, dbać o kwiaty w domu i na zewnątrz. W okresie opadów podopieczne uczą się również, jak uprawiać warzywa (przynajmniej te, które szybko rosną i nie wymagają dużego nawodnienia). Jest to bardzo istotne dla każdej z nich, gdyż w jednej ze szkół średnich młodzież razem



z dyplomem maturalnym otrzymuje tytuł *agricultora* (rolniczy).

Wspieramy talenty dzieci. Część dziewczynek realizuje się, tańcząc w balecie klasycznym i folklorystycznym, inne uczestniczą w warsztatach z malowania lub kursach szycia na maszynie. Są też dziewczynki, które

” Ogromną trudnością w mieście Cochabamba i jego okolicach jest brak wody, gdyż blisko nas nie ma źródeł. Brakuje też wód gruntowych, ponieważ od marca do września trwa pora sucha.

chcą nauczyć się piec bułki i ciasta albo przyrządzać potrawy z różnych stron świata. Co roku przygotowujemy też dzieci w małych grupach

do Pierwszej Komunii Świętej lub Bierzmowania.

Wspólnota i specjaliści

W odpowiedzi na nasz sercański charyzmat staramy się głosić miłość Bożego Serca i budować Jego Królestwo na boliwijskiej ziemi, otaczając opieką dziewczynki żyjące w naszym domu. Mamy trzyosobową wspólnotę – oprócz mnie są dwie Siostry Sercanki boliwijskiego pochodzenia, po ślubach wieczystych. Duży ciężar pracy spoczywa na samych siostrach. Jedna odpowiada za edukację, druga za żywność, a ja – jako siostra dyrektor – za administrację, zakupy, kontakty z instytucjami i lekarzami. Żadna z nas nie otrzymuje wynagrodzenia ze strony państwa i jako wspólnota zakonna jesteśmy wspierane przez naszą Wiceprowincję w Boliwii.

Jeśli chodzi o osoby świeckie, od wielu lat współpracuje z nami pani

psycholog, z pochodzenia Boliwijka, która bada stan każdego dziecka i pracuje systematycznie z każdą dziewczynką w sposób indywidualny bądź grupowy, w zależności od potrzeb. Niestety liczba godzin jej pracy jest ograniczona, gdyż nie mamy wystarczająco funduszy, żeby płacić jej wynagrodzenie za pracę z dziećmi w większym wymiarze godzin. W godzinach popołudniowych w pracy przy odrabianiu zadań z dziewczynkami wspierają nas dwie nasze wychowanki, które ukończyły studia wyższe i po skończonej pracy w szkole przychodzą do sierocińca, aby nam pomóc.

Z serca dla serca

Kilka lat temu uruchomiłyśmy w sierocińcu nowy projekt dla naszych wychowanek: „Del Corazón al Corazón”, to znaczy „Z serca dla serca”. Projekt wspiera dziewczynki zdolne, które pragną się uczyć, a jako sieroty nie mogą liczyć na żadną pomoc ze strony rodziny. W Boliwii młoda dziewczyna bez oparcia w rodzinie nie ma szans na godne życie tylko wtedy, gdy zdobędzie konkretny zawód, a następnie zatrudnienie, aby móc się utrzymać i być niezależną finansowo. Bez zawodu i rodziny nasze młode dziewczęta byłyby skazane na życie na ulicy i prostytucję, a lata pobytu w sierocińcu nie przyniosłyby oczekiwanych owoców.

Projekt polega na tym, że sierociniec pomaga dziewczynom, które dostały się na studia wyższe na uczelni państwowej, opłacić

dojazdy na zajęcia, ubezpieczenie studenckie, opłaty wymagane przez uniwersytet. W zamian za to studentki wspierają siostry, gotując obiady od poniedziałku do soboty dla całego sierocińca i piórząc ubranka małych dzieci (mamy tylko jedną pralkę). Ta wymiana wzajemnej pomocy pozwala dziewczętom studiować i zdobyć stypendium wypłacane przez uniwersytet (za wysoką średnią w nauce). Mają także zapewnione fundusze na zakup książek (koszt około 300 boliviańców) i jeden gorący posiłek dziennie. My jako siostry dzięki temu mamy wsparcie w naszych wychowankach, które widząc poświęcenie sióstr, pomagają nam i tym samym wdrażają się do odpowiedzialnego życia. Tak zrodziła się nazwa projektu: „Z serca dla serca”, gdyż każda wychowanka studentka ofiarowuje swoje serce, swój czas i wysiłek dla innego dziecięcego serca, które jest w potrzebie,

” Mieszkańcy tego regionu żyją swoimi tradycjami. Ich własne wierzenia są bardzo mocno zakorzenione i chronione przez prawo państwowe (kult i ofiary składane Pachamamie – inkaskiej bogini ziemi).

podobnie jak one same, gdy były małymi dziećmi.

Projekt ten obejmuje również dziewczęta, które nie mają zdolności, aby iść na studia wyższe, i podejmują naukę w różnych instytutach zawodowych, dwu- lub trzyletnich. W Cochabambie jest wiele instytutów, niestety prywatnych, które ofiarowują bardzo praktyczne zawody, takie jak: pomoc pielęgniarska, pomoc przedszkolna,

gastronomia, fryzjerstwo, fizjoterapia. Niestety, nie możemy pomóc wszystkim wychowankom, które chcą się dokształcić, gdyż nasze możliwości finansowe są bardzo ograniczone i o kontynuowaniu dalszej nauki decydują dobre oceny, status sieroctwa i współpraca z sierocińcem.

Wychowanie do odpowiedzialności

Towarzysząc dzieciom poprzez różne programy edukacyjne, szukamy sposobów na ich integrację ze środowiskiem, w zależności od przypadku i sytuacji dziecka. Staramy się na nowo wzbudzić w naszych podopiecznych wiarę w siebie, motywację do dalszej nauki. Pomagamy im otrząsnąć się z tragicznych doświadczeń i zachęcamy do wytrwałego realizowania obranych celów. To, na ile każda wychowanka zdoła dotrzeć do wyznaczonej sobie mety, zależy od jej kondycji psychofizycznej, od otwartości na łaskę Bożą i wielu innych czynników.

Program wychowawczy, jakim się kierujemy, nie ulega wielkim modyfikacjom, gdyż sprawdził się na przestrzeni lat i przyniósł dobre owoce. Dlatego również w tym roku dajemy dziewczynkom możliwość skorzystania z: edukacji (od przedszkola po uniwersytet); pomocy dla dzieci z trudnościami w nauce; warsztatów (szycie, malowanie, gotowanie, wypiek chleba); zajęć dodatkowych (balet klasyczny i folklorystyczny); formacji



chrześcijańskiej; przygotowania do życia w rodzinie poprzez prace domowe (pranie, prasowanie, sprzątanie).

Owoce naszej pracy

W ciągu 30 lat posługi na rzecz boliwijskich sierot nasz dom dziecka przyjął 208 dzieci będących sierotami, półsierotami, ofiarami gwałtu i przemocy fizycznej, jak również skrajnej biedy. Priorytetem są dziewczynki, które znajdują się w zagrożeniu moralnym, i te, które już doświadczyły krzywdy ze strony osób dorosłych. Pomimo bolesnych doświadczeń i cierpienia, przez które przeszły nasze podopieczne, jako Siostry Sercanki staramy się pokazać im, że miłość Boża jest bezgraniczna, że wciąż możliwe jest budowanie królestwa Bożej miłości pośród nas i że każdy może stanąć na nogi i żyć godnie, wsparty Bożą łaską i życzliwością ludzi.

Z jednej strony można powiedzieć, że jest to tylko 208 dzieci, ale nasze doświadczenie pokazuje, że

dziewczęta, opuszczając sierociniec, wchodzą w dorosłe życie i mając zawód, zyskują też większe możliwości pracy. Zostawiając za sobą swoje dysfunkcyjne środowisko rodzinne, przeobrażają się w osoby, które budują zdrowe rodziny, wychowują dzieci po chrześcijańsku i zmieniają oblicze społeczeństwa. Przykład młodych dziewcząt – wykształconych i przygotowanych do życia – jest świadectwem i zachętą dla innych, które wątpią we własne siły, porzucają szkołę i idą na ulice. Ich świadectwo jest dowodem na to, że można inaczej żyć, że poświęcenie przynosi dobre owoce na całe życie.

Trudności finansowe

Będąc ośrodkiem katolickim, natknęliśmy się na wiele trudności we współpracy z państwem boliwijskim i nigdy nie otrzymaliśmy żadnej znaczącej pomocy. Jako Hogar de Niñas same próbowałyśmy zdobyć część funduszy poprzez tworzenie i sprzedaż rękodzieła. Uczestniczyłyśmy w różnego rodzaju targach,

gdzie prezentowałyśmy produkty wykonane własnoręcznie, takie jak: kartki okolicznościowe, obrusy i torby młodzieżowe malowane ręcznie, piórniki z *aguayo* (materiał typowy dla kultury andyjskiej), długopisy ozdobne, bransoletki czy różańce z boliwijskich nasion i kamieni. Niestety, upadek boliwijskiej poczty (a co za tym idzie – brak możliwości wysyłki za pomocą tradycyjnej korespondencji), czas pandemii i brak turystów przyczyniły się do tego, że musiałyśmy zrezygnować ze sprzedaży naszych produktów.

W związku z naszą sytuacją prosiłyśmy także o pomoc ludzi dobrej woli i różne organizacje, aby wspierały nas w posłudze na rzecz sierot, gdyż utrzymanie domu, wyżywienie, edukacja i troska o zdrowie dziewcząt wymagają dużych nakładów finansowych.

Dzieci, które mieszkają w sierocińcu, przebywają u nas cały czas. Nigdzie nie wyjeżdżają, dlatego musimy im zapewnić trzy podstawowe posiłki. Zazwyczaj jest to bułka na śniadanie, na obiad drugie danie (mięso jemy trzy razy w tygodniu) i talerz zupy na kolację. Podobnie ma się sprawa z zakupem lekarstw. Dzieci nie mają ubezpieczenia, ponieważ wiele z nich nie posiada aktu urodzenia lub dowodu osobistego, które uprawniają je do ubezpieczenia, więc w przypadku choroby musimy płacić za lekarstwa 100% kwoty. Jesteśmy wdzięczne za każdą pomoc i możliwość przywrócenia tym dzieciom choć trochę dziecięcej radości i sensu życia. ■



ADOPCJA MIŁOŚCI W DOMU DLA DZIEWCZĄT W BOLIWI

JAK PODJĄĆ ADOPCJĘ MIŁOŚCI?

Adopcja Miłości umożliwia stałą pomoc wszystkim podopiecznym domowi dziecka prowadzonego przez Siostry Sercanki w Cochabambie w Boliwii. Osoby, które chcą uczestniczyć w programie „adopcji”, prosimy o wpłatę 45 złotych miesięcznie (lub więcej) przez minimum rok. Aby zadeklarować regularne darowizny, należy wpisać w tytule przelewu „Adopcja Miłości – deklaracja stała”. Można to zrobić za pomocą tradycyjnego blankietu lub na stronie www.misjesercanow.pl.



Cochabamba, Boliwia

Witajcie! Jak się Państwo macie?

Nazywam się Lizbeth i mam już dziesięć lat. W domu dziecka mieszkam od dwóch lat. Budynek sierocińca jest położony między górami, które są piękne. Dawniej mieszkłam w części tropikalnej kraju. Było tam bardzo gorąco i gryzły mnie komary. Jestem tutaj, bo moja mama miała operację, po której się nie wybudziła. Od tamtej pory minęło już dużo czasu. Mam jedną siostrzyczkę, która jest bardzo chora i opiekuje się nią moja ciocia.

Tutaj w sierocińcu mam dużo koleżanek. Codziennie chodzę do szkoły i odrabiam lekcje. Z nauką idzie mi ciężko, dlatego zadania pomaga mi odrabiać nauczycielka, która przychodzi do domu dziecka. Chociaż mam problemy w nauce, chcę skończyć szkołę i być samodzielną, kiedy dorosnę. Jestem jeszcze w czwartej klasie szkoły podstawowej, ale już niedługo przejdę do następnej.

W sierocińcu nauczyłam się jeść twardą, prać swoje ubrania, składać koszulki, spodnie i wkładać je do szafy. Umieję też przygotować sobie butkę z masłem na śniadanie. W domu dziecka troszczą się o mnie trzy siostry. Każda ma wyszyte na habicie serce. Dbają o mnie, jakby były moją mamą. W wolnym czasie bawię się z innymi dziewczynkami, gramy w piłkę, biegamy po podwórku i dużo się śmiejemy, ale najbardziej lubię oglądać telewizję.

Pozdrawiam was z Boliwii i dziękuję wam za to, że jesteście moimi dobrymi przyjaciółmi.

Z serdecznością,
Lizbeth



Polak w Boliwii – o różnicach kulturowych

ks. Tadeusz FAC

Wydaje mi się, że będąc w nowym miejscu, zawsze postrzegamy rzeczywistość, porównując ją do tego, co znamy. Tak też patrzę i ja, przebywając w Boliwii. Pojawia się w takich momentach pokusa, żeby wszystko szybko osądzać i formułować kategoryczne opinie, a to może doprowadzić do pochopnej oceny drugiego człowieka.

Dlatego w tym artykule nie chcę oceniać, ale – patrząc najobiektywniej jak tylko potrafię – opowiedzieć o niektórych różnicach między Polską a Boliwią, zarówno w wymiarze życia kościelnego, jak i społecznego. Mam świadomość, że wiele spraw może nas nieco zaskoczyć, ale żeby lepiej zrozumieć niektóre rzeczy, na pewno trzeba zobaczyć je z bliska i bardzo dobrze poznać ich szerszy kontekst. Zaledwie od kilku miesięcy mam okazję poznawać tutejszy świat, pomagając duszpastersko w archidiecezji Santa Cruz de la Sierra. To ważny szczegół, dlatego że mówimy o kraju, który nie jest jednolity i pewne sprawy mogą wyglądać trochę inaczej w strefie tropikalnej (gdzie leży wspomniane Santa Cruz), a trochę inaczej w Andach, zajmujących niemalą część państwa. Ufam, że przeczytanie tego tekstu może nas ubogacić, a Boliwia, choć będziemy mówić o różnicach, paradoksalnie stanie nam się trochę... bliższa.

Życie nocne

Jedną z różnic, łatwą do zauważenia od razu, jest fakt, że życie toczy się tu do późnych godzin wieczornych, a nawet nocnych. Większe ulice w Santa Cruz po zmroku są pełne ludzi i nikogo nie dziwi, że o 21:00 wiele małych sklepików jest jeszcze otwartych. Głównym powodem takiego trybu życia jest zapewne klimat – przez kilka dobrych miesięcy w roku panuje nieznosny upał, więc wieczorem funkcjonuje się dużo łatwiej. Być może wynika

to także z godzin, w jakich urzędują szkoły. Zajęcia tam odbywają się w dwóch turach, więc jedna grupa dzieci uczy się do około 12:30, a druga o tej porze dopiero do szkoły przychodzi i kończy lekcje o 18:00.

To wszystko wymusza odpowiednią organizację pracy w parafii. Msze Święte w tygodniu odbywają się zazwyczaj o 19:00 lub 19:30, ewentualne nabożeństwa chwilę wcześniej. Spotkania jakichkolwiek grup można organizować dopiero po

” Życie toczy się tu do późnych godzin wieczornych, a nawet nocnych. Większe ulice w Santa Cruz po zmroku są pełne ludzi, a o 21:00 wiele małych sklepików jest jeszcze otwartych.

Eucharystii, ale i tak zdecydowana większość z nich odbywa się w weekend. Boliwijskie parafie w tygodniu czasem pracują na mniejszych obrotach – po prostu wiernym trudno jest uczestniczyć wtedy w jakichś większych aktywnościach duszpasterskich. Życie przy kościele nabiera za to tempa w soboty i niedziele – katecheza dorosłych, katecheza dla dzieci przed Pierwszą Komunią Świętą, katecheza dla młodzieży przed bierzmowaniem, spotkania grupy młodzieżowej oraz ministrantów... I tutaj też jest pewna trudność,

ponieważ *secundaria*, czyli drugi poziom edukacji, odpowiadający mniej więcej polskiej szkole średniej (z tym, że nauka w *primaria* i *secundaria* trwa równo po 6 lat), ma zajęcia także w soboty. Wobec tego na jakiekolwiek większe działania z młodzieżą zostaje tylko sobotni wieczór i niedziela.

Przygotowania do sakramentów

I tak przy okazji pojawia się temat kolejnej różnicy – przygotowanie do sakramentów odbywa się wyłącznie przy kościele. Z jednej strony ksiądz bywa czasem mile widzianym gościem w szkole (na przykład przy okazji rocznicy istnienia danej placówki zaprasza się kapłana, żeby poprowadził krótkie nabożeństwo), ale z drugiej strony katecheza nie jest przedmiotem szkolnym. W przygotowaniu do sakramentów uczestniczą ci uczniowie, którzy się zgłaszają (czytaj – których zgłoszą rodzice), a ponieważ z tym zgłaszaniem bywa różnie, czasem formują się razem osoby z dwóch, trzech sąsiadujących ze sobą roczników. Katechezy, zarówno dla dzieci, jak i dla młodzieży, trwają dwa lata. Co ciekawe – spotkania odbywają się z dużą regularnością, praktycznie w każdym tygodniu roku szkolnego, więc niektóre grupy miały swoje zajęcia nawet w dniu... Wielkanocy. Jest jednak pewna sprawa, która może uniemożliwić katechezy. To... deszcz. Przez część roku opady bywają dość obfite, a ponieważ niektórzy mieszkają daleko



i większość rodzin nie posiada samochodu, piaszczyste drogi stają się mało przejezdne, a te asfaltowe są po prostu zalane. W takie dni zdarza się odwołać spotkanie w parafii.

Katechezę prowadzą odpowiednio przygotowani świeccy, czyli katechiści (powinni ukończyć specjalny kurs organizowany na przykład przy tutejszej katedrze). Nie bez powodu mówi się, że Kościół Ameryki Południowej to „Kościół Świeckich”. Ich pomoc jest nieoceniona. Kapłan czuwa nad całością, organizuje spotkania z katechistami, wedle własnego uznania może zaglądać na katechezę do dzieci i młodzieży, ale to przede wszystkim osoby świeckie przygotowują do sakramentów. Jeden ksiądz nie jest w stanie zająć się wszystkim chociażby dlatego, że – jak wspomniałem wcześniej – często wiele rzeczy dzieje się niemal w tym samym czasie. Bywa, że cała katechizowana grupa uczestniczy pod okiem swojego opiekuna w niedzielnej Eucharystii. Finalnie spory odsetek uczestników Mszy Świętej stanowią dzieci i młodzież. Jeśli natomiast weźmiemy

„ Pomimo różnic, które między nami są i będą, zdaję sobie sprawę, że ode mnie zależy, czy uczynię je przeszkodą, czy mostem w dotarciu do drugiego człowieka.

pod uwagę liczbę wszystkich parafian, okazuje się, że ci obecni na niedzielnych nabożeństwach to zaledwie kilka procent ze wszystkich mieszkańców.

Liturgia świeckich

A skoro już „weszliśmy do kościoła”... W Boliwii daje się zauważyć duże zaangażowanie w liturgię, jeśli chodzi o podejmowane funkcje. W tygodniu może nie zawsze wszystko jest dopięte na ostatni guzik, ale za to w niedzielę wiele rzeczy funkcjonuje bez jakiegokolwiek interwencji kapłana. I tak – parafie często mają kilku muzyków czy też ekip muzycznych, które wymieniają się posługują podczas nabożeństw,

a wszechobecnym instrumentem jest oczywiście gitara. Są osoby do czytania, a także tak zwany *monitor*, który nie tylko czyta komentarze do Słowa Bożego oraz modlitwy wiernych, ale także podaje intencje przed Mszą Świętą, a w czasie Eucharystii komunikuje wiernym różne polecenia, na przykład: „Usiądźmy i słuchajmy z uwagą”. Ofiary na tacę zbierają oczywiście świeccy (to zrozumiałe – często jedyny w danej parafii kapłan jest przecież za ołtarzem), ale robi to tyle osób jednocześnie, że czynność ta dobiega końca najczęściej chwilę po przygotowaniu darów. Ciekawą rzeczą jest to, że czasem niektórych funkcji podejmują się osoby niekoniecznie należące do najbardziej doświadczonych i zaangażowanych w parafii – widziałem, jak tacę zbierali kolejni kandydaci do bierzmowania, a także zdarzyło się, że o czytanie, chwilę przed Mszą Świętą, był proszony ktoś, kto akurat siedział bliżej pierwszych ławek. Może wynika to z poczucia obowiązku i z większej śmiałości w podejmowaniu różnych funkcji? To by się łączyło z inną łatwo dostrzegalną rzeczą – większą odwagą w wyrażaniu swojej wiary za pomocą zewnętrznych znaków. Nikogo nie dziwi różaniec zawieszony na szyi (nie tylko gdy jesteśmy w kościele) czy jakiś pobożny napis w stylu *Jesus te ama* (Jezus Cię kocha) na samochodzie czy w komunikacji publicznej. Niestety, zaangażowanie w posługę w kościele i otwarte przyznawanie się do wiary nie zawsze idzie w parze z konsekwentnym

życiem sakramentalnym. Czasami stosunkowo mało osób (względem liczby wiernych uczestniczących w Eucharystii) przystępuje do komunii świętej, i – co oczywiste w tym wypadku – równie niewiele korzysta ze spowiedzi. Często jest to wynikiem trwania w związku bez sakramentu małżeństwa. Wiele osób, które nie mają żadnych przeszkód, aby zawrzeć ślub kościelny, z różnych powodów jednak odkłada w czasie tę decyzję, a jednocześnie przychodzi regularnie do kościoła na modlitwę i podejmuje różne funkcje.

Cisza nie istnieje

Zauważyłem też, że Boliwijczykom trudniej jest modlić się w ciszy. Tuż przed Mszą Świętą zdarzają się rozmowy, a kiedy przychodzi czas adoracji Najświętszego Sakramentu, bywa, że cała modlitwa jest aranżowana przez prowadzących. Zauważam, że tutejsi mieszkańcy są zazwyczaj bardzo solidni w wypełnianiu zadań – jeśli coś jest prowadzone „odgórnie”, to chętnie się angażują, ale kiedy pojawia się czas na indywidualną rozmowę z Bogiem, nieraz potrzebują trochę poprowadzenia i pomocy. Dało się to zauważyć szczególnie w czasie czuwać Wielkiego Tygodnia. Wiele osób potrafiło dużo czasu przeznaczyć na wspólny różaniec i ofiarne posługiwanie śpiewem, ale kiedy pojawiał się czas ciszy, niektórzy wydawali się trochę zakłopotani czy nawet wychodzili z kościoła.

A skoro jesteśmy w temacie ciszy... Wiosną (a raczej jesienią, ponieważ pory roku w Boliwii są na odwrót niż w Polsce) miałem okazję uczestniczyć w dwóch większych spotkaniach adresowanych do młodych. Pierwszym było całonocne czuwanie młodzieży z mojej parafii, między Wigilią Paschalną a pierwszą Mszą Świętą poranną w Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego. Drugim – *Pascua Joven* (Pascha Młodych) – spotkanie młodzieży z całej tutejszej archidiecezji, które miało miejsce kilka tygodni po Wielkanocy. Schemat był podobny jak przy wydarzeniach tego typu w Polsce – modlitwa, katecheza, śpiew, zabawa, a wszystko zwieńczone Eucharystią. Różnicą, którą dało się od razu zauważyć (a właściwie usłyszeć), był... poziom głośności. Na początku wydawało mi się: „Coś chyba jest nie tak, pewnie zaraz ktoś zwróci na to uwagę i skoryguje”, jednak po chwili zorientowałem się, że tak właśnie ma być. Śpiewy, zabawy – wszystko przy natężeniu wielu decybeli. I byłem chyba jedyną osobą, która odczuwała z tego powodu dyskomfort.

Uliczna gastronomia

Dosyć dobrze w Boliwii ma się... handel. Świadczy o tym mnogość małych przydomowych sklepików. Poniekąd wiąże się z tym sprzedaż obiadów. Chyba nikt nie jest w stanie policzyć, ile jest w Santa Cruz mniejszych i większych punktów gastronomicznych, oferujących na miejscu i na wynos proste obiady w przystępnej cenie. Bardzo popularne jest jedzenie „na mieście”. I te zwyczaje przenoszą się też na życie kościelne. Zdarza się, że przez wiele niedziel w parafii coś się sprzedaje – przekąski, jak *empanadas de queso*, czyli smażone pierogi z odrobiną żółtego sera, coś do popicia, na przykład kompot z brzoskwiń z dodatkiem cynamonu zwany *mocochinchi*, a zdarzają się i dania obiadowe, jak smażone ryby czy *patasca* – tradycyjna gęsta zupa, gotowana na świńskiej głowie przez około 12 godzin. Lokalne wyroby gastronomiczne rozprowadzane po niedzielnej Eucharystii cieszą się zawsze wielkim zainteresowaniem, a dochód z ich sprzedaży często zasila fundusz Caritas, wędruje do jakiejś potrzebującej osoby lub jest



przeznaczany na konkretne dzieło w miejscowej wspólnocie.

W Polsce przypuszczalnie coraz więcej parafii organizuje festyny parafialne, na przykład przy okazji odpustu lub innego wydarzenia. W Boliwii często jest rzeczą zupełnie naturalną, że jak jest odpust – jest i fiesta. Wiele parafii, oprócz głównego kościoła, ma także kaplice dojazdowe (zdarza się, że tylko jedną, ale bywa, że kilka, a nawet kilkanaście), więc im więcej kaplic, tym więcej fiest. Może nie są one zorganizowane z taką starannością i rozmachem jak wiele polskich festynów parafialnych, ale stanowią dobrą okazję do integracji parafian i zazwyczaj są przygotowywane zupełnie oddolnie (czyli kolejny raz wierni sami się mobilizują, nie potrzebując zachęty ze strony księdza). Elementami takich fiest często są: przygotowana na szeroką skalę lokalna gastronomia, loteria fan-towa, pokazy taneczne w wykonaniu dzieci i młodzieży czy turniej piłkarski, także z udziałem drużyn

żeńskich. Europejczycy uczestniczącemu w takiej fiestie mogłoby się wydać, że nie wszystko jest przygotowane w najdrobniejszych detalach, że są pewne niedociągnięcia, opóźnienia... Nawet jeśli tak jest, to nie przeszkadza to mieszkańcom Ameryki Południowej, którzy z natury są raczej pogodni i spontaniczni.

Spontaniczne protesty

A skoro o spontaniczności... Boliwijczycy naprawdę sprawnie potrafią się zmobilizować, gdy jest konkretna sprawa. Zaobserwowałem to podczas pewnego mniej optymistycznego wydarzenia, jakim był strajk mający wymusić na rządzących konkretne decyzje dla naszego miasta. I tak w październiku i listopadzie 2022 roku trwał pięcioletniowy protest polegający na blokadzie ulic w Santa Cruz. O ile przed południem jeszcze dało się gdzieś dojechać, o tyle po południu i wieczorem podróż samochodem raczej

kończyła się na pierwszych kilkuset metrach. Finalnie nie udało się osiągnąć pożądaných decyzji, a protest przyniósł wiele niełatwych konsekwencji, jednak niesamowitą rzeczą pozostaje fakt mobilizacji mieszkańców w wytrwałym przeprowadzaniu strajku. Przez pięć tygodni protestu normalnym widokiem były nie tylko blokady utworzone z najróżniejszych przedmiotów (takich jak gruz, deski, opony, stare meble czy rozciągnięte metalowe linki), ale także ludzie przesiadujący wieczorami wokół stołów ustawionych na środku ulic. W ten sposób czas blokowania miasta był wypełniony także posiłkiem, grą w karty czy po prostu spotkaniem w miejscach, w których na co dzień jeżdżą samochody.

Przedstawione wyżej przykłady pokazują, że między Polską a Boliwią jest wiele różnic. Jednak będąc tutaj, można zauważyć, że w pewnym sensie jesteśmy... tacy sami. Spotykam tu wiele osób, które po prostu chcą kochać i być kochane, które mają w sercu wiarę, choć z jakichś powodów przeżywają ją inaczej niż ja. Doświadczam tutaj dużo ludzkiej sympatii, otwartości i przyjaźni. Choć nie zawsze umiem dobrze wyrazić swoje myśli w języku hiszpańskim, to czuję, że poprzez uśmiech i podanie ręki nawiązuję z drugim człowiekiem jakąś nić życzliwości. I pomimo różnic, które między nami są i będą, zdaję sobie sprawę, że ode mnie zależy, czy uczynię je przeszkodą, czy mostem w dotarciu do drugiego człowieka. ■



Witajcie, Kochani!

Dzisiaj będzie trochę o dzieciach mieszkających na terenie mojej misji, którą od sześciu lat jest Concepción w Boliwii. Jest to obszar położony w dżungli, czyli w tutejszym języku *selvie*, więc możecie sobie wyobrazić, że dzieci nie mają przed sobą zbyt wielu perspektyw rozwoju. Ich codzienne życie jest bardzo proste, a dorastanie i dojrzewanie niezwykle szybkie. Tu wszystko dzieje się wcześniej, a często zdecydowanie za wcześnie. Od małego dzieci pomagają swoim rodzicom w domu. Gotują, opiekują się licznym rodzeństwem, idą do pracy w polu, czasem sprzedają coś na targu. Można je zobaczyć na ulicach, jak pchają wózki pełne pomarańczy i krzyczą, że można kupić szklankę świeżo wyciśniętego soku albo *chichi* – napoju na bazie kukurydzy. To jest ich codzienność. Chcesz przeżyć, mieć codzienny posiłek, a może coś odłożyć, by w przyszłości kupić motocykl (bo o samochodzie można raczej tylko pomarzyć), musisz pracować. W życiu nic nie przychodzi za darmo. A tutaj widać to chyba jeszcze bardziej. Na ulicach często spotykam dzieci przychodzące do kościoła na katechezę, które z szerokim uśmiechem próbują mi wcisnąć przeróżne rzeczy. A ja, chociaż zazwyczaj tego zupełnie nie potrzebuję, ulegam, zapewniając, że jest inaczej. Nieraz zdarza się, że mój samochód służy za miejscowy środek transportu publicznego albo samochód dostawczy. Prawie zawsze, kiedy gdzieś jadę, przewożę czyjeś zakupy – worki z ryżem, cytrusami, a bywało, że wiozłem papugi, małpy, świnki czy kury. Podczas tego typu kursów zazwyczaj towarzyszy mi jakaś grupa osób, nierzadko właśnie dzieci.

Pamiętam, jak odwiedziłem kiedyś wioskę, która nazywa się Madrecita (hiszp. mamusia). Po skończonej Mszy rozmawialiśmy z ludźmi o chrztach, zbliżającej się fiście (hiszp. święto) i przygotowaniu do małżeństwa (don Basilio, lider wspólnoty, zachęcał młodych do żeniaczki, mówiąc, żeby poważnie traktowali swoje życie duchowe, a nie byli jak *choci* – czyli zwierzęta biegające po dżungli, przypominające wyrosnięte świnki morskie. Dość oryginalne porównanie, ale chyba przemówiło). Kiedy wsiadałem do samochodu, podeszła do mnie kobieta z gromadką dzieci i zapytała, czy mogę zawieźć je do Concepción. Powiedziałem: „Nie ma problemu”. Byłem pewien, że pojedzie z nami. Tymczasem zobaczyłem same dzieciaki – jedno po drugim pakujące się do samochodu. Po drodze don Basilio poprosił jeszcze, żeby zatrzymać się w miejscowości Embocada i odwiedzić jego teściową, która słabo się czuje i potrzebuje modlitwy, może spowiedzi czy namaszczenia. Problem pojawił się, kiedy zaczął mi tłumaczyć, jak trafić do jej domu. Po kilku minutach stwierdziłem, że i tak niewiele mi te wskazówki pomogą. W każdym razie skwitowałem, żeby szukał *doni* Benity.

Jedziemy. Siostra Celin, ja i czwórka dzieci. Edenia – dwanaście lat, Negrito („Czarnulek, bo jak się urodził, to miał strasznie ciemną karnację” – wyjaśnia jego siostra) – trzy





lata, Patito („Kaczorek, bo biega na bosaka jak kacuszka” – tłumaczy dalej Edenia) – rok i Gaeden – dwa miesiące. Zaczyna się rozmowa. Patito płacze. Edenia mówi, że jej tata pracuje teraz jako nauczyciel właśnie w tej wiosce. Razem z nim mieszka jeszcze czworo jej starszego rodzeństwa (bo uczęszczają tam do szkoły). Pozostała czwórka, która jedzie ze mną, mieszka z mamą w Concepción. W tym regionie nauczyciele są z automatu oddelegowywani do pracy na wioskach. Muszą wtedy mieszkać tam z miejscowymi ludźmi. W lesie. Czy im się to podoba, czy nie. Dlatego niektórzy, zwłaszcza na początku, wysiadają. Nie chcą. Nie dają rady. Inni za to świetnie odnajdują się w nowej roli.

Okazuje się, że cała ósemka rodzeństwa ma na imię Eden albo Edenia. Od ojca, który nosi to właśnie imię. Drugie imię mają po kimś innym z rodziny. Na przykład Edenia (która ze mną jedzie) ma na drugie Gabriela. Po mamie. Jeden z jej braci to Eden Jose Antonio (po dziadku). Proste. Ta czwórka przyjechała do Madrecity z mamą motocyklem. Pewnie taką stopięćdziesiątką. W każdy weekend chcą być razem, więc jadą wspólnie do wioski. Oczywiście droga jest teraz koszmarna. Raz się zgubili, kiedy indziej prawie wpadli do wody. Mama z czwórką dzieci co tydzień na motocyklu jedzie kilkadziesiąt kilometrów w głąb lasu, żeby spędzić czas z mężem i pozostałymi dziećmi. Nie-samowita kobieta.

Sama Edenia, chociaż ma dopiero dwanaście lat, zajmuje się swoim rodzeństwem, gotuje, sprząta. Wstaje

codziennie o 5:00. Najpierw szkoła. Najpóźniej o 6:00 musi wyjść z domu, żeby zdążyć na 7:30. Tam, gdzie chodzi do szkoły, w każdy poniedziałek muszą mieć mundurki. Jak nie, to ich nie wpuszczą. Jak nie mają stroju na wychowanie fizyczne – też nie ma wstępu do szkoły. Jak się spóźnią (a codziennie rano jest grany

hymn narodowy), nie ma wej-

ścia. W szkole jest do południa. Potem wraca, sprząta dom, jak trzeba, to gotuje i zajmuje się dziećmi, bo mama też idzie do szkoły, tylko zawodowej, na 14:00 i wraca o 17:00. Edenia nauczyła się gotować, mając sześć, może siedem lat. Kiedy mama była po porodzie i dochodziła do siebie, mówiła Edenii, co ma po kolei robić, a ona gotowała. Dla całej rodziny. Jak zaczęła wymieniać, ile rzeczy potrafi już dzisiaj przygotować, robiło to wrażenie.

Przejeżdżamy przez wioskę Embocada, zatrzymuję się i szukam domu *doni* Benity. Po kilku próbach i rozmowach z miejscowymi w końcu odnalazłem drogę. Jest w domu z całą rodziną. Staruszka. Schorowana. Wyspowałem ją, dałem namaszczenie, pomodliliśmy się wspólnie i dalej w drogę. Dojeżdżamy do Concepción. Pytam dzieci, czy są głodne. Mówią z uśmiechem, że nie bardzo, że bym się nie martwił. „Jasne” – pomyślałem. Kupiłem dla każdego obiad na wynos i zawiozłem wszystkich do domu ich babci, bo tam miała dojechać mama. Wróciłem, i długo jeszcze siedziało mi w głowie to spotkanie.

Zobaczcie, jaki inny świat. Jak inaczej wygląda dzieciństwo. Jak szybko dzieci dojrzewają. Tu nie ma niezdrowej nadopiekuńczości. Życie jest zbyt brutalne, żeby na to pozwalać. Czasem może się komuś wydawać, że do szczęścia brakuje mu jeszcze tylu rzeczy, a tutaj ludzie cieszą się z tych najdrobniejszych. Chciałbym, żebyście zobaczyli radość tych dzieciaków, kiedy dostają zwykłego lizaka. I jak na to czekają! W świecie,

w którym żyjemy, dzieci mają nieraz mnóstwo rzeczy, zajęć dodatkowych, możliwości rozwijania swoich zainteresowań. Tutaj tak nie jest. Tylko nieliczni podejmują dalsze kształcenie w późniejszym wieku poza swoją wioską. Większość zostaje i szuka jakiegoś prostego zajęcia na miejscu. Może z czasem i tu, w Boliwii, pojawią się jakieś szersze perspektywy dla młodych. Nie wiem. Jedno jest pewne. Świat, w którym żyją na co dzień, jest zupełnie inny od tego, który znamy. To świat bliski naturze, która chociaż piękna, dzika i tajemnicza, często bywa również brutalna i niebezpieczna. Nie wiem, co stanie się za kilka lat z Edenią i jej rodzeństwem, ale chciałbym, żeby kiedyś im wszystkim się po prostu udało. Żeby mogli żyć w lepszym, bardziej cywilizowanym świecie. Ale aby tak się

stało, dużo jeszcze musi się zmienić. A tych zmian musimy dokonywać wspólnie. Bo jak mówi afrykańskie przysłowie, jednym palcem twarzy nie umyjesz. Potrzebujesz do tego całej dłoni. A najlepiej dwóch. W jakimś stopniu potrzeba więc do tego nas wszystkich. Również Ciebie!

*Pozdrawiam
ks. Tomasz Fajt*



Rozbudowa kościoła w Boliwii

[www.misjesercanow.pl/projekty/
rozbudowa-kosciola-w-boliwii](http://www.misjesercanow.pl/projekty/rozbudowa-kosciola-w-boliwii)



10 RZECZY, KTÓRYCH NIE WIESZ

1



Cholitas to rdzenne mieszkanki Boliwii pochodzące z gór. Reprezentują grupę etniczną Indian Ajmara. Noszą charakterystyczny kolorowy strój, w którym największą uwagę zwracają czarny filcowy melonik i warstwowa spódnica.

2



W każdej miejscowości ważnym miejscem jest *mercado*, czyli lokalny bazar. Na ulicy można kupić wszystko – od świeżego mięsa po miotłę czy butlę z gazem. Zgiełk, hałas oraz docierające z różnych stron zapachy i kolory mogą przyprawiać o zawrót głowy.

3



Na ulicach, na których właściwie nie panują żadne zasady ruchu drogowego, jeździ dużo białych, rozklekotanych mikrobusów *trufi*, oklejonych różnymi napisami, np. *Jesus te ama* (Jezus cię kocha). *Trufi* to popularny, bo tani środek transportu.

4



Aguayo to typowy dla Ameryki Południowej materiał, z którego powstają torebki, obrusy i wszelkiego rodzaju pamiątki dla turystów. Ma różnobarwne paski i wzory inspirowane lokalnymi wierzeniami. Kiedyś był ręcznie tkany na krosnach.

5



Przyjeżdżając do Boliwii, można spodziewać się antyrządowych protestów, które paraliżują cały kraj. Blokowane są wtedy główne drogi, zamykane sklepy, a nawet okupowane lotniska i wstrzymywane loty.

O BOLIWII

| Dorota POŚPIECH

Titicaca to największe wysokogórskie jezioro świata, położone na wysokości 3812 metrów n.p.m. Znajduje się na granicy Peru i Boliwii, w sercu Andów Środkowych. Jego nazwa pochodzi z języka keczua i oznacza pumę (*titi*) polującą na zającą (*caca*).

6



Zgodnie z inkaskimi wierzeniami w wodach Titicaca narodził się bóg Wirakocza, który stworzył Słońce i ludzi. Dlatego jedna z wysp nazywa się Isla del Sol (Wyspa Słońca), a niedaleko niej leży Isla de la Luna (Wyspa Księżyca), niegdyś zamieszkiwana przez kapłanki Słońca.

7



Nieprzemysłane konstrukcje budowlane, jakie można spotkać w Boliwii, to efekt dzikiej urbanizacji. Zbudowane z czerwonej cegły domy straszą wystającymi prętami i otworami bez okien i drzwi. Na ulicach kable elektryczne wiszą wszędzie i we wszystkich możliwych konfiguracjach.

8



Targ Czarownic (*Mercado de los Brujos*) to jedna z atrakcji turystycznych La Paz. Wśród licznych straganów, na których można kupić składniki do magicznych rytuałów, szczególną uwagę przykuwają płody lam. Boliwijczycy wierzą, że prochy takiego płodu, rozsypane na fundamentach nowego budynku, będą chronić jego mieszkańców.

9



W rejonach wysokogórskich częstym widokiem na ulicznych straganach są przezroczyste torebki wypełnione zielonymi liśćmi. Są to liście koki, które żują zarówno tutejsze kobiety, jak i mężczyźni. Turyści sięgają po nie z ciekawości albo kiedy doskwiera im choroba wysokościowa.

10



Czarno na Białym

O powołaniu misyjnym, początkach pracy na innym kontynencie, trudnościach związanych z ewangelizacją w okresie apartheidu, a także o tym, dlaczego Republika Południowej Afryki różni się od krajów Afryki Centralnej, rozmawia Jakub Talaga z księżmi Krzysztofem Grzelakiem SCJ i Zdzisławem Kościelnym SCJ, sercańskimi misjonarzami.

średniej. Właśnie w tymże czasie poznałem sercanów, ale pamiętam, że to pragnienie było ze mną już od bardzo dawna. Dlatego poszukiwałem seminarium o charakterze misyjnym. Należałem też do grupy apostoelskiej, która działała bardzo aktywnie w obszarze misji, i to jeszcze bardziej rozbudziło we mnie pragnienie służby ludziom.

Czyli przychodząc do seminarium, Ksiądz już wiedział, że chce zostać misjonarzem?

KG: Tak, zbierałem wiadomości o zakonie sercanów i wiedziałem, że w charyzmacie i praktyce mają posyłanie swoich członków na misje, ponieważ było to też bardzo ważne dla naszego założyciela – ojca Leona Dehona.

A u Księdza, księżu Zdzisławie, jak zaczęła się przygoda z misjami?

Zdzisław Kościelny SCJ: W moim przypadku było podobnie jak u księdza Krzysztofa. Jest to bardzo delikatny głos, który mówi, by pójść za Chrystusem i odpowiedzieć na powołanie. Zetknąłem się też z misjonarzami, którzy przyjechali do Polski na urlop, było bardzo dużo spotkań z nimi organizowanych w tamtym czasie i wyjątkowo mnie to zainteresowało.

Czyli u Księdza zaczęło się to na etapie seminarium?

ZK: Tak, był to drugi etap, ponieważ najpierw byłem w wojsku. Było to wojsko ludowe i ci, którzy tam byli, wiedzą, jakie

były w nim warunki i atmosfera. Właśnie w wojsku zaczęło się tak naprawdę kształtować moje powołanie. Obiecałem sobie wtedy, że jak dojdę kiedyś do kapłaństwa, to inaczej będę patrzył na każdego człowieka. Były też periodyki przysyłane ze Stanów Zjednoczonych, w których opisywana była sytuacja w RPA podczas apartheidu. Przez te lata podtrzymywałem ten wewnętrzny głos, który mówił mi, że to ma być RPA.

Dobrze, że wspomniał Ksiądz o wyborze miejsca, bo chciałem zapytać, co Księżu natchnęło, że ma to być właśnie RPA? Jak wiemy, był to dla Afryki Południowej trudny okres, ale też czas przemian na całym świecie.

KG: Można powiedzieć, że to zawsze Pan Bóg człowieka kieruje. Ja nie chciałem jechać do RPA. Jako diakon złożyłem podanie o wyjazd do Konga, lecz zostało ono odrzucone. Po święceniach byłem rok na parafii w Krakowie-Płaszowie. Wtedy pod wpływem namowy księdza Zdzisława złożyłem podanie o wyjazd do RPA, gdzie byli potrzebni misjonarze. Głównym motywem często jest właśnie zapotrzebowanie. To bywa takim czynnikiem, który warunkuje drogę misyjną. Niektórzy z nas zawężają możliwość wyjazdu do konkretnego kraju, a niektórzy zostawiają to w rękach władz zakonnych. W moim wypadku to zapotrzebowanie spowodowało, że pojechałem do RPA, wiedząc

Jakub Talaga: Na początku chciałbym zapytać, jak podejmuje się decyzję, żeby zostać misjonarzem. Chciałbym, żeby Księża cofnęli się do czasów seminarium i opowiedzieli, w jaki sposób zrodziło się u nich powołanie misyjne.

Krzysztof Grzelak SCJ: Myślę, że to jest delikatny głos, który pojawia się w sercu młodego człowieka. W moim wypadku było to jeszcze w okresie szkoły



o sytuacji politycznej i ekonomicznej, która tam panowała.

ZK: Mnie natomiast zaproponowano Filipiny, bo wtedy właśnie tam kreowano grupę międzynarodową. Ówczesny ksiądz proboszcz, ksiądz Sławiński, zaproponował, żebym poleciał właśnie na Filipiny. Odpowiedziałem, że ja czuję, że od strony klimatycznej lepiej będę funkcjonował w RPA. On wtedy stwierdził, że jeśli tak czuję, to żebym tam poleciał.

Każdy z nas, wybierając nową drogę w życiu, ma pewne obawy i oczekiwania. Chciałbym zapytać, jakie Księża mieli oczekiwania czy obawy i jak one wyglądały w starciu z rzeczywistością.

KG: Ja nie miałem wielkich obaw. Jadąc na misję, człowiek zdaje sobie sprawę, że jest dużo rzeczy, z którymi trzeba się zmierzyć. Raczej nie ma kalkulacji, człowiek przyjmuje sytuację taką, jaka jest. Wiedzieliśmy, że w RPA panuje rasizm i apartheid i nie będzie łatwo białemu człowiekowi być posłanym do czarnej ludności, która była ciemniejsza. Gdy tam przyjechaliśmy, okazało się, że to prawda. Oczywiście trzeba z tymi ludźmi być, dać się poznać, żeby uzyskać ich zaufanie i wtedy można rozpocząć pracę. Ja wyobrażałem sobie, że Południowa Afryka jest bardziej jak Afryka Centralna, czyli dzikość, dżungla i busz. Po przyjeździe oczywiście okazało się, że jest

to bardziej teren półpustynny, nie ma wielu terenów zielonych, no i są ogromne Góry Stołowe. To wszystko mi trochę nie pasowało do moich wyobrażeń. Ale poza tym – palmy, zwierzęta – to wszystko było afrykańskie. No i oczywiście ludzie byli Afrykańczykami.

W tamtych czasach, z racji słabego przepływu informacji, postrzegano Afrykę często jako jeden obszar geograficzny. Nie było możliwości zobaczenia w internecie, jak wygląda RPA. Nurtuje mnie, jakie było pierwsze wrażenie Księża po przylocie.

KG: Myślę, że poziom życia ludzi był zaskoczeniem. Spodziewałem się braku cywilizacji, tymczasem spotkałem wykształconych ludzi, którzy bardzo cenili swoją godność mimo tego, że żyli w niewoli przez wiele lat. To dało się wyczuć, że oni cieszyli się z tego, że są Afrykańczykami. Mimo trudności, które przeżywali, pozostali ludźmi zadowolonymi i uśmiechniętymi. Często pozytywną cechą Afrykańczyków jest to, że mimo swojej biedy i tak cieszą się z tego, co mają.

Czy po przylocie Księża od razu trafili na parafie?

KG: W naszym zakonie, zanim trafi się na misję, jedzie się na przygotowanie językowe. Byliśmy wysłani do Stanów Zjednoczonych i dopiero po kursie językowym zostaliśmy przydzieleni do poszczególnych diecezji. Ksiądz Zdzisław do diecezji Aliwal, ja natomiast do

diecezji De Aar. Na początku jest czas na aklimatyzację, dopiero później następuje przyjazd na placówkę, gdzie jest największa potrzeba.

Przez wzgląd na ówczesne czasy chciałem też zapytać o mieszkańców. Jaka była ich reakcja na białych misjonarzy, gdy dotarli już Księża do placówek? Czy można było spotkać się z niechęcią do kapłanów?

KG: Myślę, że tak. Nikt nie ma wypisane na twarzy, że jest misjonarzem. Czarni Afrykańczycy nie odczuwali wielkiej sympatii do białych. Sytuacja zmieniała się, gdy pojawialiśmy się na określonej parafii lub placówce. Na tyle, na ile ci ludzie mogli, przyjęli nas z szacunkiem i wdzięcznością. Cieszyli się, że jest nowy ksiądz, który został do nich posłany, żeby być odpowiedzialnym za życie wspólnoty. Natomiast kwestia zaufania to jest to proces. Poprzez wzajemną obserwację zaczął się rodzić duch zaufania. Można powiedzieć, że po pół roku obserwowaliśmy różne oznaki zaufania wśród ludzi. Tak było w moim przypadku, nie wiem, jak u księdza Zdzisława.

ZK: Tak jak ksiądz Krzysztof wspomniał, przez kilka miesięcy pomagaliśmy w pracy parafialnej, odprawiając Msze Święte w języku angielskim. Zastępowaliśmy też księży, którzy wyjeżdżali na leczenie do Europy lub do Stanów Zjednoczonych. Tak było przez kilka miesięcy, później już zostaliśmy przydzieleni do konkretnych parafii. Tam stawialiśmy pierwsze

kroki. Ludzie patrzyli na nas i zastanawiali się, czy my jesteśmy tam podstawieni, czy mamy współczucie dla tych ludzi, zwłaszcza patrząc przez pryzmat apartheidu. Ja akurat przez cztery lata widziałem jeszcze apartheid i to, jak mieszkańcy byli traktowani. Można powiedzieć, że byłem między młotem a kowadłem, ponieważ pracowałem dla czarnych, a byłem biały. Jeździliśmy ubrani jak farmerzy, ludzie biali nas witali, ale gdy mówiliśmy, że pracujemy z czarnymi, to automatycznie pojawiał się dystans.

Wspomnieli Księża, że budowanie zaufania to jest proces. W związku z tym mam pytanie: czy uważają Księża, że jeśli już to zaufanie się zbuduje, to ta wspólnota ma bardzo silne więzi?

ZK: O tyle, o ile jest silna. Ja obecnie pracuję w trzech parafiach. Są to parafie dla białych, kolorowych i czarnych. Ten podział istnieje, mimo że teoretycznie apartheid to już przeszłość. Wtedy biali nie mogli wjeżdżać do dzielnic, w których mieszkają czarni. Na terenie

tych dzielnic były więc budowane kościoły i zdarzały się sytuacje, że biały ksiądz nie mógł tam wjechać. Nawet kolorowy ksiądz, jeśli pracował i mieszkał pośród białych, był szykanowany. Przychodzi mi na myśl jeden nasz ksiądz, który jest kolorowy i mieszkał wśród białych. Mieszkańcy brali kamienie i rzucali mu w dach, dając tym samym do zrozumienia, że nie jest mile widziany. Były to czasy, że każdy ksiądz ze względu na kolor skóry musiał stawiać czoła takim problemom. Jeśli chodzi o społeczność, to naturalne jest, że każda wspólnota różni się od siebie. Wspólnota białych powoli wymiera, młodzi wyjeżdżają do wielkich miast. Tak samo w przypadku kolorowych. Opuszczają domy, zwłaszcza młodzież, w celu znalezienia pracy i studiów, a ci starsi pozostają. Czarni także muszą przemieszczać się ze względu na miejsce pracy. Tylko raz czy dwa razy do roku przyjeżdżają do swoich parafii.

Chciałem teraz zapytać księdza Zdzisława, czy widzi Ksiądz





wyraźne różnice między miastem a wioską w RPA? Wiem, że ma Ksiądz kilka parafii, w których jest proboszczem. Czy mógłby Ksiądz opisać te najważniejsze różnice?

ZK: Zdecydowanie jest różnica. Przez osiem lat byłem na takiej typowej misji. Nie było sieci wodociągowej, była tylko woda gruntowa i polne drogi. Ludzie, którzy mieszkali na wiosce, przychodzili do tych kościołów, a były one oddalone o kilkanaście kilometrów. Sam siebie pytałem często, czy gdybym urodził się w RPA, to miałbym odwagę chodzić do kościoła te osiem czy dziewięć kilometrów. Często jest tak, że nie można tam dojechać samochodem, trzeba go zostawić i iść na piechotę, ponieważ nie ma dróg. Widać, że ludzie w miastach są bardziej wykształceni. Żyją w tych skupiskach ludzkich, czyli małych miasteczkach. To jest dużym udogodnieniem dla nich i dla mnie. Nie

trzeba chodzić do kościoła aż tylu kilometrów i są asfaltowe drogi, więc można spokojnie dojeżdżać. Między miastem a wioską jest także duża różnica w braniu odpowiedzialności za parafię. W mieście dużą rolę odgrywa rada parafialna, która odpowiada za wiele kwestii organizacyjnych, administracyjnych, a także finansowych. W wiosce nie mogłem oczekiwać od mieszkańców, że będą brać za to odpowiedzialność, bo tam nie było sytuacji, że kościół był ubezpieczony. Wszystko było na moich barkach. Teraz oczywiście jest inaczej, ludzie są bardziej wykształceni i mają lepsze warunki. Kościoły są ubezpieczone i jest też rada parafialna, to daje mi satysfakcję, że tak właśnie powinno być.

Dochodzą do nas często przekazy z różnych kampanii medialnych, że Afryka jako region nadal zмага się z niską jakością służby

medycznej. Czy w RPA też można to odczuć? Czy zdarzają się sytuacje, że ludzie umierają na ulicy?

KG: Ja myślę, że trzeba odróżnić Afrykę Południową od Afryki Centralnej. W RPA służba zdrowia stoi na dużo wyższym poziomie. Tak samo infrastruktura, budynki, lokale czy przychodnie. RPA dba o kształcenie personelu medycznego, niektóre uniwersytety medyczne są bardzo dobre. Myślę, że dużym problemem jest korupcja. Wysokie dotacje przeznaczane na służbę zdrowia „znikają” lub są przekierowywane na coś innego. Natomiast kadra medyczna jest dobrze wykształcona. Dużo lekarzy czy pielęgniarek wyjechało z RPA, lecz gdy zobaczyli, że życie bez bliskich jest bardzo trudne, to zaczęli wracać. Infrastruktura pozostała jeszcze z czasów apartheidu i ona dobrze funkcjonuje. Afrykańczycy jednak mają problem z administracją. Zupełnie inaczej podchodzą do życia codziennego, ale z pewnością gorzej jest w krajach Afryki Centralnej. Tam zdarza się, że ludzie faktycznie mogą umierać na ulicy. W RPA instytucje państwowe udzielają pomocy, jeśli ktoś tego potrzebuje.

Ksiądz Krzysztof jest prowincjałem, więc na pewno pracowali Księża z lokalnymi kapłanami. Mogliby Księża opisać, jak wygląda praca z nimi, jak traktują swoje obowiązki, czy na przykład czas rozpoczęcia Mszy Świętej ma dla nich jakieś znaczenie?

KG: Myślę, że to my – Europejczycy – mamy takie postrzeganie czasu jako czegoś absolutnego. Dla nich czas jest wartością relatywną. Czas się tworzy, kiedy ludzie się zgromadzą, i oni to rozumieją. Jeśli afrykański ksiądz przyjedzie później, to wspólnota czeka na niego. Nikt się nie załamuje, tam jest zupełnie inna mentalność i podejście. My pewnie byśmy się denerwowali i rzucali kamieniami, a oni podchodzą do tego inaczej. My, biali misjonarze, jesteśmy tam posłani, ponieważ jest potrzeba. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy tam ciałem obcym. Pozostaniemy Europejczykami, pomimo tego, że jesteśmy chrześcijanami. To Chrystus jest tym zwornikiem, który łączy Afrykańczyków i nas, ale my tam jesteśmy tylko do pewnego czasu. Jest duża różnica pomiędzy nami a rdzennymi kapłanami i księżmi, którzy wywodzą się z tej kultury i znają tradycje. Właśnie dlatego oni są akceptowani jako „swoi” księża. My zawsze zostaniemy Europejczykami, ponieważ żyjemy na obrzeżu dwóch

kultur i obyczajów. Każdy z nas ma tego świadomość, że jesteśmy tam, bo akurat jest taka potrzeba. Kiedy Kościół misyjny staje się Kościołem lokalnym, to naszym jedynym wyjściem jest powrót, chyba że ktoś chce tam zostać i umrzeć. Nasza misja kończy się w momencie, kiedy rodzi się Kościół lokalny, a tworzy się on wtedy, kiedy struktury są tworzone przez lokalnych księży i biskupów.

Chciałem zadać ostatnie już pytanie. Czy Księża zaadaptowali coś od Afrykańczyków? Może spóźnienie się albo inne poczucie czasu?

KG: Tak, zdecydowanie. Jesteśmy bardziej zrelaksowani. Śmieszy nas czasem ta zasadniczość, to, jak dla ludzi istotne jest wypełnianie obowiązków. Tam podchodzi się inaczej do życia, żyje się z dnia na dzień, to też jest dużo zdrowsze. Nie ma wyścigu szczurów i tak wielkiego indywidualizmu.

ZK: Ja myślę, że cierpliwość. Na samym początku, kiedy gdzieś jechałem, to byłem punktualny, a tu się



okazywało, że ludzie przychodzili dwie godziny później. Musiałem nauczyć się cierpliwości. Ludzie w Afryce nie są tak nerwowi. Życie w Polsce jest tak stresujące, że aż straszne. Oczywiście ludzie, którzy mieszkają w dużych miastach jak Kapsztad czy Johannesburg, muszą się dostosować. Ale ogólnie rzecz biorąc, są dużo spokojniejsi i bardziej zrelaksowani. ■





MIŁOSIERDZIE PRZEZ DUŻE M

ks. bp Adam MUSIAŁEK SCJ

Centrum Miłosierdzia Bożego w diecezji De Aar w Republice Południowej Afryki to miejsce, którego misją jest pomoc najbardziej potrzebującym dzieciom, młodzieży i ludziom starszym, szczególnie chorym i niepełnosprawnym. Przez wiele lat działały tu tylko przedszkole i szkoła, a istniejący kompleks budynków był bardzo zaniedbany. Jego odnowy podjął się ksiądz Adam Musiałek SCJ – polski misjonarz, Sercanin, który w 2009 roku został mianowany biskupem diecezji De Aar.

W RPA pracuję od 36 lat, jako biskup od 14. Przez ten czas wiele się zmieniło. Przede wszystkim jestem 36 lat starszy. Dzięki demokratycznym wyborom w RPA w 1994 roku został zniesiony apartheid. Był to wówczas czas odnowy kraju, wspaniałe uniesienia, wolne wybory – nadzieja na lepsze jutro, o które walczyliśmy wszyscy, w tym – choć może krótko – i ja. Po latach przyszedł czas na... wielkie rozczarowanie. To, co było, minęło, a zaczęła pisać się historia, którą znamy z podręczników...

Z państwa policyjnego przeszliśmy na państwo bezradnej policji. Jak w przeszłości było spokojnie i czysto w RPA, tak teraz miasta są zaśmiecone, policja w większości nie interweniuje w przypadku „incydentów”, które niekiedy kończą się zabójstwami. Domy czasami wyglądają jak fortece zabezpieczające prywatne posiadłości.

Pod względem ekonomicznym nastąpił regres (korupcja wśród urzędników państwowych na każdym szczeblu), a co za tym idzie – jest większa liczba bezrobotnych i oczywiście narastająca liczba ludzi biednych. Obserwuje się również duży procent ludzi emigrujących z RPA do krajów anglosaskich, głównie wśród białych, ale nie tylko.

Rasizm, tak obecny w RPA w czasach apartheidu, przybrał obecnie inne formy. Oficjalnie, według konstytucji jest karalny, ale w relacjach międzyludzkich dalej istnieje. W związku z tym organizacje pozarządowe, szczególnie kościelne,

są jedynymi ośrodkami pomocy społecznej dla ludzi najbardziej potrzebujących.

System, który w RPA pozostał bez zmian, to ten, że bogaci współcześnie stali się jeszcze bogatsi, a biedni – biedniejsi.

Realia diecezji i obowiązki biskupa

Diecezje w RPA są bardzo zróżnicowane w zależności od liczby

ludności i rodzaju aglomeracji: wiejskiej lub miejskiej. W diecezji De Aar, mimo że jest określana jako wiejska, nie ma wiosek. Ludność zamieszkuje w większych lub mniejszych miastach. Statystyczna diecezja liczy sobie niewiele ponad sześć tysięcy katolików. W rzeczywistości osób regularnie uczęszczających do kościoła jest nie więcej niż dwa tysiące. Jako biskup znam osobiście moich diecezjan, gdyż cała diecezja jest jak mała parafia, tyle że rozrzucona w promieniu 63 tysięcy kilometrów kwadratowych. Odległości pomiędzy miastami są duże, lecz dzięki Bogu w każdym miejscu jest ksiądz, który jest odpowiedzialny za trzy kościoły, a czasami jeszcze za jedną lub dwie kaplice dojazdowe (gdzie na stałe nie ma kapłana).

Ze względu na taką organizację pracy w diecezji mamy regularne comiesięczne spotkania wszystkich księży w domu biskupa. Jest to nie

„ Rasizm, tak obecny w RPA w czasach apartheidu, przybrał obecnie inne formy. Oficjalnie, według konstytucji jest karalny, ale w relacjach międzyludzkich dalej istnieje.





tylko czas na rozmowy o sprawach duszpasterskich, ale także możliwość spotkania się i wzajemnego wsparcia w naszej pracy duszpasterskiej. Planujemy parę wspólnych dni na zakończenie roku, aby podsumować naszą pracę i zaplanować następny rok. W tych zebraniach, a właściwie spotkaniach duszpasterskich, biorą udział również nasze trzy siostry zakonne, gdyż w diecezji panuje raczej atmosfera rodzinna. Wszyscy wszystko o sobie wiedzą!

Kiedy księża wyjeżdżają na wakacje, biskup musi tak ustawić swoją pracę, aby zastąpić ich na parafiach. Jest to dobry czas, gdyż dzięki temu mam bezpośredni kontakt z wiernymi przez co najmniej miesiąc. W ten sposób zacieśniają

się również więzi między biskupem a wiernymi.

Przedszkole w Centrum Miłosierdzia

Centrum Miłosierdzia od 1923 roku przechodziło przez różne stadia i było pod opieką kolejno: Sióstr Dominikanek, Sióstr Najświętszego Krzyża i Misjonarek Serca Pana Jezusa. Funkcjonowało wtedy jako przedszkole i szkoła dla dzieci ubogich z diecezji De Aar i okolicznych miejscowości. Po 1973 roku organizację szkoły i zanikającego przedszkola przejął państwowy wydział oświaty. W 2013 roku zdezwastowane budynki szkolne zostały zwrócone diecezji i trzeba było coś z nimi zrobić. Widząc sytuację

społeczną środowiska, w którym działaliśmy, zacząłem zbierać pieniądze na renowację budynków, głównie z myślą o przedszkolu, które w tamtych czasach było bardzo zaniedbane.

Przedszkole obecnie przyjmuje 258 dzieci. Ze względu na pandemię nie może być ich więcej i są to dzieci tylko ostatniego rocznika, które przygotowują się do szkoły. Przed pandemią mieliśmy ponad 400 dzieci. Przedszkole jest miejscem, gdzie dzieci nie tylko się uczą i bawią, ale mają też możliwość zjeść jedyny posiłek w ciągu dnia. Całe centrum i wszystkie jego sektory są pod nadzorem diecezji. To jest nasze zaangażowanie bezpośrednio w pracę socjalną. Wszelka pomoc materialna przeznaczona na codzienną

działalność przedszkola, taka jak m.in. opłaty pracowników czy wyżywienie, jest dostarczana przez instytucję socjalną.

Wsparcie dla chorych i niepełnosprawnych

Oprócz przedszkola jednym z dzieł socjalnych Centrum jest ośrodek 'Kidz' for heaven (mimo że prawidłowa pisownia po angielsku to 'kids', to ze względu na charakterystykę tego ośrodka, który jest przeznaczony dla dzieci niepełnosprawnych, wybrano nazwę 'kidz'). To jest moje największe osiągnięcie w tym Centrum, gdyż dzieci te były zapomniane przez swoje najbliższe środowisko, a rodzice czasami się ich wstydzili. Mając taką grupę, tylko z okolic De Aar, uświadamiamy lokalną społeczność, że dzieci z niepełnosprawnościami również mają prawo do życia w społeczeństwie.

Hospice to kolejny projekt działający przy Centrum Miłosierdzia i miejsce dla nieuleczalnie chorych, również z HIV/AIDS. Jestem patronem tego ośrodka, gdyż funkcjonuje on na swoich własnych prawach. Ta instytucja sprawuje pieczę nad 23 miejscowościami i wykracza poza terytorium diecezji De Aar. Ze względu na specyfikę geograficzną granicami hospicjum jest terytorium *municipality*, czyli odpowiednik polskiego powiatu. Jako diecezja, ponownie, mamy swój udział w organizowaniu początków tego dzieła

w latach dziewięćdziesiątych, kiedy pracowałem tu jako ksiądz w De Aar. Diecezja za czasów mojego poprzednika, biskupa Josepha Potocnaka, oddała dom hospicjum. Poprzednio mieściło się tam Centrum, a obecnie jest miejscem administracji i zarządzania tym projektem. Pracują tam, tak jak w każdym z naszych dzieł socjalnych, ludzie różnych wyznań, co przyczynia się do rozwoju również więzi ekumenicznych. *OVC Centre* (*Orphans and Vulnerable Children Centre* – Ośrodek dla Sierot i Dzieci Zagrożonych Wykorzystaniem) – jest częścią hospicjum i znajduje się na terenie Centrum Miłosierdzia.

Step-down Centre to dom spokojnej śmierci. Ze względu na

wielkość diecezji i z myślą o przyszłości moich księży diecezjalnych pomyślałem, aby wygospodarować takie miejsce dla nich, kiedy przejdą na emeryturę. W trakcie remontów okazało się jednak, że istnieje większa potrzeba stworzenia takiego miejsca, a mianowicie dla ludzi, którzy umierają w samotności i bez opieki rodziny. Nawiasem mówiąc, system i zwyczaj rodzinnej opieki w RPA jest w opłakanym stanie. Postanowiłem zatem zmienić przeznaczenie tego budynku i przystosować go właśnie do takich potrzeb. W placówce tej mamy 20 miejsc dla potrzebujących opieki i zdarza się, że wypełnione są wszystkie.

Opracowanie: Dorota Pośpiech





Skazani na Biedę?

Małgorzata MADEJ

Wszyscy wiemy, że Afryka jest biedna. Przypominają nam o tym media, organizacje charytatywne, a nawet zdjęcia znajomych w mediach społecznościowych. Dużo rzadziej zastanawiamy się jednak, dlaczego Afryka jest biedna. Na to pytanie znajdujemy obecnie wiele różnych odpowiedzi, lecz w pewien sposób pogodziliśmy się z tą obiegową opinią, że Afryka zawsze będzie biedna. Ale czy sytuacja jest aż tak beznadziejna?

Na początek warto zaznaczyć, o jakiej biedzie mówimy. Często bowiem słyszymy w mediach o bogactwie Afryki, ale bez odpowiedniego kontekstu twierdzenie to może być mylące. Owszem, Afryka ma na przykład bardzo bogatą kulturę. Najczęściej jednak o bogactwie Czarnego Lądu usłyszymy w kontekście surowców naturalnych – mówi się, że kontynent ten „leży na tablicy Mendelejewa”. Jest w tym stwierdzeniu bardzo dużo prawdy, ale należy pamiętać, że posiadanie surowca nie od razu oznacza, że jest się bogatym. Surowiec trzeba wydobyć i sprzedać, co nie zawsze jest proste.

Wskaźniki rozwoju

Mówiąc zatem w niniejszym tekście o afrykańskiej biedzie, będziemy skupiać się na sytuacji społeczno-gospodarczej. Program Narodów Zjednoczonych ds. Rozwoju (agenda ONZ) co roku publikuje tzw. wskaźnik rozwoju społecznego (*Human Development Index – HDI*). Jest to sumaryczny wskaźnik rozwoju społeczno-ekonomicznego dla wszystkich państw świata. Służy do oceny średnich osiągnięć danego kraju i jakości życia na trzech podstawowych płaszczyznach: długości życia i ochrony zdrowia, edukacji oraz zamożności. Oprócz PKB *per capita* uwzględnia się w nim oczekiwaną długość życia oraz współczynnik skolaryzacji.

Wskaźnik HDI publikowany jest każdego roku. Na liście znajduje się

obecnie 191 państw, a spośród 30 najgorzej rozwiniętych aż 27 to kraje afrykańskie. Afryka Subsaharyjska jest regionem, który w potocznym języku nazwalibyśmy biednym. Żyje tam prawie 579 milionów osób uważanych za ubogich. „Biedny” oznacza nie tylko to, że dana osoba żyje za dzienną kwotę 1,9 dolara, lecz także to, że ma utrudniony dostęp do edukacji, służby zdrowia, wody pitnej, odpowiedniego miejsca zamieszkania czy sanitariatów. Największą bolączką mieszkańców Afryki jest brak dostępu do wody pitnej i elektryfikacji, co znacznie wpływa na potencjalne możliwości rozwoju.

Dlaczego akurat ten kontynent jest najbiedniejszy? Na to pytanie od lat próbują znaleźć odpowiedź najmądrzejsi tego świata, bo dobra diagnoza to klucz do rozwiązania problemu. W grę wchodzi jednak bardzo wiele czynników, które przyczyniają się do sytuacji Afryki, i każdy z nich wydaje się trudny do przezwyciężenia.

Taki mamy klimat

Jako jedną z przyczyn tak słabego rozwoju Afryki podaje się jej klimat. Choć jest on zróżnicowany w poszczególnych rejonach, to nie da się ukryć, że jest tam upalnie. Czy w takich warunkach ciężka praca jest możliwa? Niektórzy twierdzą, że to właśnie gorący klimat afrykański sprawia, że człowiek nie jest zdolny do pracy fizycznej czy umysłowej przez cały dzień. Dodatkowe braki wody pitnej znacznie utrudniają



stałe uzupełnianie płynów w organizmie, co potęguje zmęczenie.

Gorący klimat osłabia człowieka, ale sprzyja rozwojowi różnego rodzaju bakterii i pasożytów. Malaria, tyfus, gruźlica, cholera dotykają setki milionów mieszkańców tego lądu. Do tego dochodzą choroby wirusowe, takie jak zapalenie wątroby i AIDS, z którymi zmagają się kolejne dziesiątki milionów osób.

Sam klimat Afryki nie tylko osłabia jej mieszkańców, lecz także jest tym czynnikiem, który decyduje, czy danego roku będzie głód, czy żniwa. Afrykańskie rolnictwo zależne jest bowiem od cyklicznych opadów deszczu. Jest to kwestia kluczowa, ponieważ nie ma tam innego systemu nawadniania pól uprawnych. W przeciwieństwie do pozostałych kontynentów sieć rzeczna na Czarnym Lądzie jest niezwykle uboga. Nie ma tam lodowców, dzięki którym woda spływa niezależnie od opadów. Góry są raczej wyjątkiem,

” Wskaźnik HDI publikowany jest każdego roku. Na liście znajduje się obecnie 191 państw, a spośród 30 najgorzej rozwiniętych aż 27 to kraje afrykańskie.

a kontynent charakteryzuje się dość płaskim ukształtowaniem terenu. Wiele rzek ma charakter okresowy – płyną tylko wówczas, gdy pada deszcz. A kiedy krople z nieba nie nawadniają pól, susza ma druzgocące konsekwencje dla ludzi.

Brak komunikacji

Wspomniane afrykańskie rzeki to kolejny punkt, który możemy wpisać na listę czynników utrudniających rozwój. Nie tylko jest ich mało, ale także większość z nich nie jest spływna. Może się wydawać,

że to szczegół, ale to właśnie transport wodny jest najbardziej efektywny. Brak takiego typu taniej komunikacji znacznie utrudnia handel, który jest ważnym czynnikiem w rozwoju. Dodatkowo wybrzeża Afryki są dość „proste”, brakuje tam zatok, które idealnie nadają się na budowę portów.

Można by powiedzieć, że transport rzeczny to już przeszłość, obecnie przecież buduje się drogi i koleje. Warto jednak spojrzeć na ten aspekt z perspektywy historycznej – ułatwiony transport rzeczny i morski w Europie dał jej ogromną przewagę gospodarczą, która w XIX wieku doprowadziła do przejścia przez mocarstwa ze Starego Kontynentu niemal całej Afryki. Warto wspomnieć, że transport to przepływ nie tylko towarów, lecz także wiedzy i idei. Umożliwia on uczenie się na cudzych błędach i sukcesach czy wprowadzanie zmian w zakresie gospodarki lub systemów politycznych. Tego właściwie brakowało Afryce przedkolonialnej, gdzie różne grupy etniczne żyły w izolacji od siebie.

Kultura

Warto też wspomnieć o czynniku, który często bywa pomijany przy omawianiu przyczyn afrykańskiego ubóstwa. Są to pewne cechy afrykańskiej kultury czy moralności, które nie tylko nie sprzyjają rozwojowi, ale wręcz go uniemożliwiają. Wielu Afrykanów ma głęboko zakorzeniony

„ Sam klimat Afryki nie tylko osłabia jej mieszkańców, lecz także jest tym czynnikiem, który decyduje, czy danego roku będzie głód, czy żniwa. Afrykańskie rolnictwo zależne jest bowiem od cyklicznych opadów deszczu.



etnocentryzm. Przejawia się on w tym, że wszystko, co Afrykanin robi na korzyść swojej grupy etnicznej, jest uważane za dobre, a jeżeli jego czyny uderzają w interesy tej grupy, to takie zachowanie uważane będzie za złe. W większości państw Afryki, gdzie koegzystują ze sobą bardzo liczne ludy, takie myślenie jest bardzo zgubne, gdyż przyczynia się do korupcji, nepotyzmu i konfliktów międzyetnicznych.

Inną cechą afrykańskiej kultury jest tak zwany komunizm

pierwotny, jak go nazywał Julius Nyerere, prezydent i twórca państwa tanzańskiego. Choć nazwa wydaje się nieco na wyrost, „pierwotny komunizm” polega na tym, że społeczeństwo dąży do zachowania równości. Ten, kto się wybija, ma obowiązek podzielenia się swoim sukcesem z rodziną, a nawet całym plemieniem. Takie

myślenie sprzyja oczywiście korupcji oraz hamuje prywatne inwestycje, bo zarobione pieniądze są rozdawane na potrzeby rodziny, która w Afryce nie ogranicza się do kilku osób, a raczej liczy ich kilkadziesiąt. Ci, którzy nie dostosowują się do tej zasady, bywają oskarżani o czary.



Kolonializm i dekolonizacja

Afryka nigdy bogata nie była. Czy kolonializm nie przyczynił jeszcze bardziej do ubóstwa Afrykanów? Nie da się ukryć, że Europejczycy mają sporo na sumieniu. Handel niewolnikami, drenaż surowców, niegodne traktowanie ludzi – to tylko kilka przykładów. Nie wszystko jednak, co przyniosła Europa do Afryki, było złe. Handel niewolnikami został zakazany właśnie w pierwszej kolejności przez mocarstwa



a ich wynikiem jest jedynie pogłębienie problemu ubóstwa.

Martwa pomoc

Afryce trzeba pomóc. To stwierdzenie wydaje się nam oczywiste. Wiemy też doskonale, że lepiej dawać wędkę zamiast ryby, dlatego chętnie wspieramy na przykład afrykańską edukację, która jest jednym z ważnych kroków w rozwoju. Nie zdajemy sobie jednak sprawy, jak wiele pieniędzy już Afryce przekazano w ramach pomocy. Od 1960 roku Afryka otrzymała w tym celu miliardy dolarów. Szacuje się, że w ciągu ostatnich 30 lat pomoc dla tego kontynentu wyniosła 1,2 biliona dolarów. Tylko w 2022 roku Stany Zjednoczone przekazały mieszkańcom Afryki pomoc humanitarną o wartości ponad sześciu miliardów dolarów. Jednak pomimo tego wsparcia zaledwie kilka krajów afrykańskich osiągnęło zadowalający

„Wielu Afrykanów ma głęboko zakorzeniony etnocentryzm. Ten, kto się wybija, ma obowiązek podzielenia się swoim sukcesem z rodziną, a nawet całym plemieniem. Ci, którzy nie dostosowują się do tej zasady, bywają oskarżani o czary.

rozwiązaniem. W młodych państwach afrykańskich brakowało elit politycznych i gospodarczych, brakowało klasy średniej, która jest motorem demokracji. Zabrakło także współpracy, tej wewnętrzpaństwowej i wewnątrzkontynentalnej. Państwa, których granice rysowano na mapie w Europie, stały się miejscem do życia wielu grup etnicznych o różnych kulturach, wierzeniach i interesach. Konflikty zbrojne przetaczają się przez Afrykę od czasów dekolonizacji do dziś,

Zachodnie i był zwalczany w innych częściach świata. Ewangelizacja, skolarzacja, ochrona życia i zdrowia, włączenie gospodarek do systemu światowego to przykłady tych działań, które, choć nie są idealnie implementowane, to podniosły poziom życia w Afryce.

To właśnie w czasach kolonialnych powstały w Afryce kopalnie, linie kolejowe, porty morskie, a potem lotnicze. Te były jednak nastawione tylko na wywóz towarów do Europy. Upragniona dekolonizacja nie okazała się



wzrost gospodarczy od czasów dekolonizacji.

Jak to możliwe, że takie sumy pieniędzy nie pomagają? Cały pomysł opiera się przecież na tzw. planie Marshalla, który po II wojnie światowej przyniósł pozytywne efekty w Europie. Różnica polega jednak na tym, że plan ten był przewidziany na określony czas i skierowany do państw, w których istniały już stabilne struktury. „Martwa pomoc”, jak ją określa zambijska ekonomistka Dambisa Moyo w swojej książce *Dead Aid* o pomocy dla Afryki, to pieniądze od przywódców i międzynarodowych instytucji Zachodu dla skorumpowanych afrykańskich rządów. Kurek z gotówką właściwie nigdy nie jest zakręcany, niezależnie od tego, jak dany kraj

jest zarządzany. Za przykład niech posłuży Zimbabwe, które od 1980 roku tylko od USA otrzymało pomoc w kwocie ponad 3,5 miliarda dolarów. W tym czasie przez wiele lat rządził w Zimbabwe Robert Mugabe, jeden z najbardziej skorumpowanych dyktatorów Afryki, który nie tylko nie wywiązywał się ze swoich obowiązków wobec obywateli, ale przede wszystkim prowadził kraj w stronę zapaści gospodarczej.

Dambisa Moyo uważa, że to właśnie taka długotrwała pomoc zagraniczna przyczynia się do utrwalenia biedy w Afryce. Wiele afrykańskich rządów skupia się bowiem na pozyskiwaniu dotacji zamiast na naprawieniu sytuacji w kraju. Nikt właściwie nie rozlicza tych rządów z otrzymanego wsparcia finansowego. Najkrótszą

drogą do dorobienia się w Afryce dużych pieniędzy nie jest biznes, lecz zdobycie władzy.

Czy Afryka skazana jest zatem na biedę? Niekoniecznie, co starają się udowodnić państwa takie jak Botswana czy Ghana. Stawiają one na przedsiębiorczość swoich obywateli, niezależność od pomocy zagranicznej i dywersyfikację wpływów budżetowych, aby nie podporządkowywać się cenom jednego surowca na rynku światowym. Afryka ma szansę na wzbogacenie się, ale jak stwierdza Dambisa Moyo, musi zależeć na tym także samym Afrykanom i ich politycznym elitom. Zachód może zmienić natomiast swoje podejście do Afryki jako do kontynentu, z którym trzeba współpracować jak z partnerem, a nie pomagać jak dziecku. ■



zbieramto 

ZBIERAMY TELEFONY KOMÓRKOWE

TELEFONY Z PRZYCISKAMI ■ SMARTFONY ■ TABLETY

Dzięki współpracy z firmą recyklingową z zebranych telefonów odzyskiwane są metale szlachetne (które są wykorzystywane przy ich produkcji). Za każdy zebrany odpad otrzymujemy darowiznę, którą przekazujemy na budowę studni w Tanzanii.

Jak przekazać sprzęt?

Prosimy o nadawanie listów poleconych lub paczek:

Sekretariat Misji Zagranicznych Księża Sercanów,
ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn

tel. 537 411 405 ■ e-mail: kontakt@misjesercanow.pl

Pomoc, KTÓRA nie DZIAŁA

ks. Zbigniew CHWAJA SCJ

Dambisa Moyo to urodzona w Zambii ekonomistka zajmująca się makroekonomią i polityką globalną, ze szczególnym naciskiem na sytuację Afryki. W swojej książce *Dead Aid* stawia tezę, że pomoc finansowa płynąca do Afryki z Zachodu w żaden sposób nie pomaga afrykańskim krajom w rozwoju i zwalczaniu biedy oraz głodu. Nie tylko nie pomaga, ale wręcz szkodzi. Autorka przekonuje, że trzeba znaleźć inną, skuteczniejszą drogę.



„Nigdy nie spotkałem kraju, który rozwinałby się dzięki pomocy zagranicznej albo kredytom. Kraje, w których dokonał się rozwój – w Europie, Ameryce, Azji – wszystkie wierzyły w wolny rynek. Tu nie ma żadnej tajemnicy. Afryka po okresie kolonialnym wybrała złą drogę”. Te słowa prezydenta Senegalu Abdoulaye Wade wracają co jakiś czas w dyskusjach na forach międzynarodowych, kiedy mowa o pomocy dla najbardziej nieszczęśliwych krajów kontynentu.

Jak wygląda pomoc?

Pomoc zagraniczną można podzielić na dwie grupy. Do pierwszej należą akcje humanitarne prowadzone w sytuacji zagrożenia życia ludzi.

Na wsparcie humanitarne świat wydaje od 5 do 10% całości budżetu pomocy międzynarodowej. Są to jednorazowe lub cykliczne akcje, mające na celu zaradzenie najbardziej palącym potrzebom wynikającym z klęsk żywiołowych czy katastrof humanitarnych. Wobec takich kataklizmów jak powódź, trzęsienie ziemi, klęska głodu czy tsunami człowiek wyczulony na potrzeby bliźniego nie może pozostać obojętny.

Znaczna część wydatków pomocowych przeznaczana jest jednak na drugi segment, czyli na programy rozwoju państw, w których nie ma wojen, trzęsień ziemi ani głodu. Na tym mniej więcej polega utrzymywany od 50 lat system pomocy międzynarodowej, a Afryka – kontynent, otrzymujący największą część tego

wsparcia – wyraźnie pokazuje, jak system ten niszczy ludzi, którym w teorii miał pomagać.

Miliardowe inwestycje i pieniądze przeznaczone na pomoc rozwojową, a nawet głośne kampanie społeczne nie poprawiły sytuacji w regionie. Dla bogatego świata Zachodu utrzymywanie pewnego stopnia niedorozwoju Afryki wydaje się korzystne.

Pracownicy organizacji humanitarnych nie lubią, gdy używa się określenia „przemysł pomocowy”, co jest w pełni zrozumiałe. Ma ono bowiem wydźwięk pejoratywny. Ukazuje ich pracę i wysiłki niekoniecznie jako działalność bezinteresowną, nakierowaną na ludzkie dobro i wyzbytą politycznych czy finansowych interesów.

Chłodnym okiem można dostrzec, że pomoc finansowa od wielu dekad płynie do Afryki niekończącym się strumieniem. Mimo to poziom ubóstwa wzrasta, głodnych nie brakuje. Kraje rozwinięte nie ustają w wysiłkach, wolontariusze i organizacje pomocowe pracują pełną parą, a Afryka nadal pozostaje biedna. Gdzie zatem tkwi problem?

Jak pomagać?

Odpowiedzi na to pytanie udziela pochodząca z Zambii znana afrykańska ekonomistka Dambisa Moyo. W swojej książce *Pomoc, która nie działa* (tytuł oryginalny – *Dead Aid*) przekonuje, że problem polega na uzależnianiu gospodarek poszczególnych państw



afrykańskich od pomocy finansowej, co blokuje ich rozwój. Poza tym przyzwyczajenie do nieustannego wsparcia z zewnątrz korumpuje. Dyktatorzy utrzymują się na swoich stanowiskach, bo zagarniają dużą część pieniędzy, które powinny trafiać do najbardziej potrzebujących.

Ludzki potencjał również traci na pomocy finansowej. Przedsiębiorczy, pomysłowi i kreatywni ludzie, usiłujący pracą własnych rąk zarobić na życie, nie są w stanie utrzymać się na rynku zalewanym tanimi czy też darmowymi produktami z importu.

Wsparcie, jakie widzimy w telewizji pod postacią samolotów z żywnością i tak dalej, stanowi zaledwie 5% ogólnej pomocy w Afryce. Reszta pieniędzy trafia do kieszeni tak zwanych „miejscowych biznesmenów”. Dary idą „do swoich” – do wodzów klanów, do uległych urzędników – a społeczeństwo nadal cierpi. Pomoc przeznaczona na zakup artykułów



spożywczych dla najbiedniejszych jest otwarcie wykorzystywana przez prezydentów i premierów rządów do zachowania władzy.

Spośród wielkich światowych mocarstw tylko Chiny są zainteresowane wzmocnieniem Afryki jako potencjalnego rynku zbytu dla ich produktów. Chińczycy rzadko dają pieniądze. Wolą budować albo dawać coś konkretnego, z czego ludzie mogliby bezpośrednio skorzystać. Dla Zachodu najlepiej byłoby, aby Czarny Ląd pozostał tym, czym jest od setek lat: malowniczą krainą zamieszkiwaną przez biednych ludzi, którym można podarować miskę ryżu...

Dlaczego kraje Afryki, tak bogate w surowce naturalne, nie potrafią się uporać z najbardziej podstawowymi potrzebami mieszkańców jak: bieda, analfabetyzm, brak dostępu do podstawowej opieki medycznej? Przykładem niech będzie Wybrzeże Kości Słoniowej. To największy

producent kakao, ale już nie czekolady. Tę produkują na przykład Szwajcarzy i sprzedają ze znacznie większym zyskiem niż kraje afrykańskie surowiec, z którego ona powstaje.

Inny przykład: w 1991 roku upadł rząd Somalii. Brak władzy spowodował, że u wybrzeży tego kraju pojawiły się tajemnicze statki z Europy. Wrzucały do oceanu ogromne beczki z odpadami. Mieszkańcy rejonów przybrzeżnych zaczęli chorować. Na początku mieli dziwne wysypki i mdłości. Potem zaczęły się rodzić zdeformowane dzieci. Wreszcie, po tsunami w 2005 roku setki przeciekających zbiorników wypłynęły na ląd. Inne statki z Europy plądrują somalijskie wody w poszukiwaniu ich najcenniejszego bogactwa naturalnego: ryb i owoców morza. Każdego roku z tutejszych akwenów kłusownicy wylawiają: tuńczyki, krewetki i homary warte 300 milio-

nów dolarów, a miejscowi rybacy przymierają głodem.

Afryka jest smakowitym kąskiem dla każdego – ma dużo terenu i bogactwa pod ziemią. A mieszkańcy kontynentu? Oni niewiele obchodzą. Czy można im pomagać skutecznie, dając nie tylko przysłowiową rybę, ale przede wszystkim wędkę? Afryce potrzebna jest przede wszystkim infrastruktura. Pomoc powinna polegać na: budowie wiosek, studni, lekkich domostw, rozwijaniu miejscowych działalności gospodarczych, handlu i miejscowego transportu.

Dziś najlepszą formą wsparcia, jaką możemy zaoferować Afrykanom, jest nieprzeszkadzanie im w rozwoju. Na początek należy wpuścić ich produkty na europejskie rynki i inwestować w Afryce na normalnych zasadach. Nigeria jest producentem ropy naftowej na skalę światową, Republika Południowej Afryki może pochwalić się jednymi

z największych złóż złota i diamentów, a Zambia była do niedawna ósmym największym producentem miedzi na świecie.

Rola Kościoła Katolickiego

Jak w tym kontekście funkcjonuje misja Kościoła, która w znacznej mierze jest związana z podźwignięciem ludzi mieszkających w Afryce z zapaści edukacyjnej i ekonomicznej?

Całościowy rozwój i wyzwolenie z niesprawiedliwego ucisku jest jedną z najpilniejszych potrzeb, na których skupia się działalność misjonarska, jeżeli chodzi o społeczną naukę Kościoła w krajach afrykańskich. Dotyczy to wielu

dziedzin rozwoju tamtejszych społeczeństw.

Organizacje międzynarodowe niejednokrotnie uznają misjonarzy katolickich za krzewicieli właściwego podejścia do rozwoju i usuwania niesprawiedliwości w krajach afrykańskich. Jest to tym bardziej godne podkreślenia, że osiągnięcie znacznych rezultatów jest możliwe przy znikomym środkach finansowych w porównaniu z tymi, jakimi dysponują organizacje międzynarodowe.

Z miłości bliźniego wynika troska o głodujących, chorych czy prześladowanych oraz ogromne poświęcenie misjonarzy i misjonek służących na misjach. Kościół często pozostaje jedyną instytucją

działającą „w terenie”, a więc na wioskach oddalonych od dużych skupisk ludzkich. Jest przy tym niewielką organizacją działającą w Afryce, którą w dalszym ciągu darzy się autorytetem i nie postrzega jako skorumpowanej.

Misjonarze i misjonarki Kościoła Katolickiego starają się zapraszać ludzi do współpracy i współdziałania w budowaniu lepszej przyszłości. Kościół nie idzie w kierunku dawania gotowych rozwiązań, ale stara się szukać rozwiązań problemów wraz ze wspólnotą, w której wypełnia swoją misję. Angażując się w usuwanie skutków zacoferania, Kościół pozostaje pokorny i prosty, co pomaga w tworzeniu obrazu instytucji godnej zaufania. ■





Wędką, a nie RYBĄ

Izabela CYWA

Izabela Cywa jest zaangażowana w pomoc w Afryce od ponad 10 lat. Zaczęło się od pierwszego wyjazdu na misję w 2012 roku. Później Iza przez kilka lat pracowała m.in. jako dyrektorka szpitala w Bangadou w Republice Środkowoafrykańskiej. Przez ostatnie lata koordynuje projekt Bezpieczna Mama, który wspierają nasi Darczyńcy. Jak z jej perspektywy wygląda skuteczna pomoc w Afryce?

Moje doświadczenie w kwestii niesienia pomocy w Afryce związane jest tylko i wyłącznie z Republiką Środkowoafrykańską. Myślę, że najważniejsze jest zbadanie realnych potrzeb. Taką potrzebą jest na przykład dostęp do wody, dlatego też zajmuję się m.in. studniami. Przez prawie dwa lata pracowałam z amerykańską organizacją, która cały rok poświęciła na dokładne zbadanie terenu. Chodziłam do każdej wioski i sprawdzałam: liczbę ludności, czy jest jakaś studnia lub źródło, czy może rzeka oraz czy woda w niej jest bardzo brudna, czy ludzie tam chorują. Były to swego rodzaju badania socjologiczne, ale one nam też pokazały, że bardzo dużo studni wybudowano zupełnie bez sensu – albo za daleko od wioski, a jeśli były w dobrej odległości, to brakowało jakiegoś elementu, co uniemożliwiało ich użytkowanie. Tak się dzieje, gdy przy studni nie ma powołanego tak zwanego komitetu; wtedy robi się problem, bo nie ma funduszu na naprawę takiej studni. Zdarzało się, że zepsuła się nawet drobna część, na którą nie potrzeba dużej sumy pieniędzy, ale nikt nie chciał za to zapłacić, i w konsekwencji studnia stała nieużytkowana. Potem jednak okazywało się, że da się ją naprawić, ale na remont po dziesięciu latach trzeba było wydać znacznie więcej, niż gdyby naprawa była zrobiona od razu.

Zweryfikować potrzeby

Potrzeby widać i jesteśmy w stanie je zrozumieć, pracując z ludźmi na



stałe. Dlatego tak dobrze dostrzegają je misjonarze, bo oni patrzą głębiej i widzą lepiej niż jakieś duże organizacje, które są daleko i nie mieszkają z tutejszymi ludźmi. Na pewno jest to zupełnie inny rodzaj pomocy, kiedy jesteśmy blisko mieszkańców. Poza tym praca w Republice Środkowoafrykańskiej daje naprawdę wiele satysfakcji, bo ci proszą ludzie są bardzo wdzięczni. Oczywiście widoczne są zaszłości kolonialne albo raczej neokolonialne. Republika Środkowoafrykańska była kolonią francuską, więc mieszkańcy mają duży dystans do Francuzów, a nas, Polaków, inaczej traktują. My różnimy się też tym, że uczymy się języka sango, czyli oni widzą, że staramy się ich poznać i nie traktujemy ich z góry. Wiedzą, że Polacy to misjonarze, więc traktują nas z dużo większą otwartością.

Zrozumieć mieszkańców

Pomagamy osobom z bardzo niskim poziomem wykształcenia, które zazwyczaj nie skończyły szkoły podstawowej, w szczególności dotyczy to kobiet. Czasem ukończyły tylko cztery klasy, więc nie zdają sobie do końca sprawy z własnych potrzeb. Nauczyły się czerpać wodę z brudnej rzeki, cieszą się, że mają wodę, dają ją do picia swoim dzieciom, zupełnie nie wiedząc, że w taki sposób zabijają je i siebie, bo nadmiar bakterii jest w pewnym momencie śmiertelny. Niewiedza jest ogromna, bo kraj jest bardzo biedny, specyficzny. Około 95% społeczeństwa to rolnicy, chociaż większość mieszkańców żyje w miastach, które raczej trudno nazwać miastami, skoro główny dochód to rolnictwo. Uprwiają takie podstawowe produkty jak maniok, kukurydza, orzeszki lub

warzywa zielone, na przykład szpinak. Sprzedają je później i większość osób z tego się utrzymuje.

Wiedza zamiast sprzętu

Dla mnie zawsze ważna była wędka, a nie ryba. Dlatego powstał projekt Bezpieczna Mama, czyli szkolenia, bo szkolenia to wiedza, która zostaje i powinna być przekazywana dalej. Z tego względu też naciskam bardzo na ośrodki zdrowia, aby skupiać się właśnie na tej formie pomocy. Niektóre organizacje sugerowały, że szkolenia są za bardzo angażujące, bo przecież można na przykład po prostu wysłać materiały. Tylko co z takich materiałów, jeśli oni nie potrafią ich dobrze wykorzystać. A nawet jak potrafią, to nie korzystają w pełni z ich możliwości, ponieważ mają inny poziom

edukacji, w inny sposób zdobywali wiedzę, mieli mniej okazji do rozwoju umysłowego. Większość z nich nie myśli perspektywicznie, a bardziej odtwórczo. Działają na zasadzie rutyny, powtarzają to, czego kiedyś się nauczyli. I mimo że mogliby wykorzystać pewne elementy z tych materiałów medycznych do czegoś innego, to nie są w stanie zrozumieć mechanizmów i ich działania, jeśli się im tego nie pokaże. Dlatego też powtarzamy te szkolenia, bo jeśli ktoś nie uczył się przez pół swojego życia, to jego zakres przyswajania nowych umiejętności jest dużo mniejszy niż osoby, która ciągle zdobywa jakąś wiedzę, czyta, podejmuje nowe wyzwania.

Pomaganie w praktyce

Projekt Bezpieczna Mama opiera się na tym, żeby podstawą były

szkolenia plus materiały medyczne, czyli najpierw dajemy im wiedzę, którą częściowo już mają, ale w niewielkim zakresie i często nieaktualną. Co jest najważniejsze – pokazujemy im, jak odbierać najcięższe porody. Kobiety umierają, bo akuszerki nie potrafią odbierać tych najcięższych porodów, nie radzą sobie, popełniają dużo błędów, brakuje im myślenia przyczynowo-skutkowego, nie łączą pewnych elementów. Nawet osoby, które kończą uniwersytet, nadal mają problem z analizowaniem i robieniem kilku rzeczy na raz, a co dopiero osoby niewykształcone.

Widzę, że to jest bardzo ważne, iż dajemy im możliwość rozwoju, możliwość nauki. Pokazujemy konkretne umiejętności, które mogą ratować życie kobiety i dziecka. Dajemy im też podstawowe materiały medyczne, bo – nie ukrywajmy – w przychodniach w Republice Środkowoafrykańskiej są bardzo ograniczone możliwości; większość sprzętów jest kiepskiej jakości albo nie ma ich wcale. Na nic zda się wiedza, jeśli nie mają dostępu do jednorazowych rękawiczek albo sterylnej narzędzia do odcięcia pępowiny. To są proste rzeczy, ale pomagają uniknąć zakażenia okołoporodowego, w wyniku którego noworodek nie ma szans na przeżycie. Więc przede wszystkim dajemy im wędkę w postaci szkoleń. Rybą są materiały medyczne, ale w tym wypadku jest to konieczny element. ■





PROJEKT Bezpieczna Mama

Projekt Bezpieczna Mama ratuje życie dzieci i kobiet w Republice Środkowoafrykańskiej. Dzięki tej inicjatywie ekipa medyków z Polski prowadzi szkolenia dla lokalnych akuszerok. Pozwala to unikać błędów podczas porodów, które kończą się śmiercią noworodków i ich mam.



<https://www.misjesercanow.pl/projekty/bezpieczna-mama>



Być misjonarzem w ALBANI

ks. Jarosław GRZEGORCZYK SCJ

„Jadę do Albanii... łał!“. Taką wiadomość otrzymałem kilka dni temu od osoby, która jest związana z naszym sekretariatem misyjnym, a także modli się za mnie w ramach duchowej adopcji misjonarza. To bardzo częsta reakcja ludzi, którzy wybierają się do Albanii albo spędzają tu pierwsze chwile. Jest to ciekawe dla nas, którzy w tym kraju mieszkamy trochę dłużej, bo większość rodowitych Albańczyków zazwyczaj myśli tylko o wyjeździe za granicę.





Albania ma w sobie jakiś niesamowity urok, który powoduje, że my, Polacy, mamy wyjątkową słabość do tego kraju. Majestatyczne góry, równiny pełne upraw szaławii i lawendy, a w końcu samo morze. To tworzy krajobraz, który często zaskakuje. Albańskie widoki to także domy. Te stare, które można spotkać jeszcze gdzieś w Szkodrze, kamienne domy *kulla*, stanowiące często miejsce ucieczki przed rodową zemstą – *hakmarrja*. Domy, które powstały w czasie komunizmu oraz współczesne – wyglądające podobnie jak na całym świecie – tworzą swoisty chaos architektoniczny w miastach, wsiach, a nawet przy plażach.

Albania to także twarze ludzi, czasem trudne do określenia co do wieku. Twarze ludzi starszych, kobiet i mężczyzn. Te twarze mają wypisane na sobie ciężką pracę, życie w komunizmie, a także dzisiejsze

frustracje. Ale Albania to także twarze ludzi młodych (przecież Albańczycy to najmłodszy naród w Europie). Dla nich najważniejsze są trzy rzeczy: fryzura, samochód i zadbane buty.

W tym świecie głoszona jest Ewangelia. Na północy, w okolicach Szkodry, to regularna działalność apostolska w ramach parafii i grup. Z kolei Tirana to ziemia nieznaną. Z jednej strony jest najbardziej katolickim miastem w kraju, a z drugiej katolicy zachowują tu największą anonimowość. Mimo tego, że pracują tam księża diecezjalni i zakonnicy, tacy jak Salezjanie czy Jezuici, obecnie uważa się, że to właśnie w stolicy duszpasterze mają najwięcej trudności, a społeczeństwo jest bardziej zlaicyzowane. Problem stanowi także brak księży. I w końcu południe Albanii, gdzie nawet nie ma diecezji, tylko administratura apostolska. A misjonarze, którzy

tam żyją, są prawdziwymi głosicielami pierwszego kerygmatu, dobrej nowiny o Jezusie Chrystusie.

Wiara Albańczyków jest bardzo specyficzna i ma różne oblicza. Często określenie: „Jestem katolikiem” to nie tylko przyznanie się do wiary, ale także wyznacznik kultury, przynależności społecznej i rodzinnej. Jednym z rozpoznawalnych symboli takiej rzeczywistości jest toast, który wznosi się rakiją, mówiąc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Można też doświadczyć bardzo głębokiego zaufania Opatrzności Bożej i przekonania o istnieniu Boga. Często słyży się sformułowania: „Dzięki Bogu”, „O Boże”, „O Kościele z Łań”, które nie są jedynie przerywnikami w zdaniu, ale rzeczywistym odniesieniem do wiary.

Do dziś ludzie starsi zachowali pamiątki z czasów komunizmu, gdy obrazek z Jezusem czy świętym przechowywało się w poduszce, za obrazem lub podwójnym dnem skrzyni. Często rzeczy, które były wyniesione z kościoła z obawy przed komunistami, całe lata przeleżały ukryte w ziemi.

W Albanii jest bardzo dużo małych kościołów, często datujących się nawet na X wiek, które czas albo działania komunistów kompletnie zniszczyły. W wielu miejscach, gdzie dziś nawet nikt nie mieszka, są ślady średniowiecznych świątyń i małych osad. Jednak z ruin nikt z katolików nie zabierze żadnego kamienia, gdyż istnieje przeświadczenie, że byłaby to kradzież i przyniosłoby to nieszczęście

rodzinie. I co dziwne, to dość magiczne podejście do wiary ma poświadczenie w faktach. Opowiadają o nich ludzie, przywołując przykład tych, którzy złamali ten zakaz.

Wiara często składa się z pojedynczych, ale bardzo istotnych dla ludzi wydarzeń. Jedną z obecnych sióstr zakonnych opowiadała mi historię ze swego dzieciństwa, kiedy spotkała Błogosławionego Stefana Kurtiego. Ten kosowski ksiądz był proboszczem w Tiranie, prowadził korespondencję z Watykanem i wieloma ludźmi w Europie, służył pomocą biskupom, był też oddanym duszpasterzem. Gdy przyszedł komunizm, zamieszkał w parafii Gurëz (gdzie dziś pracują Sercanie). Tam spotkała go druga fala prześladowań, która skończyła się aresztowaniem księdza Stefana. Po wyjściu z więzienia został pracownikiem kołchozu, mieszkał w jednym z pomieszczeń gospodarczych

bez dostępu do bieżącej wody, higieny. Bojąc się licznych prowokacji, zaniechał obowiązków kapłańskich, ale wcześniej nauczył ludzi, jak na przykład mogą chrzczyć dzieci.

Wspomniana siostra opowiadała, że kiedy miała może cztery lata, jej mama zapraszała księdza Stefana, żeby zjadł coś z nimi albo żeby mógł się umyć. On nigdy nie siadał przy stole, ale chciał jeść na ziemi razem z dziećmi. Świadomie starał się, by nie traktowano go poważnie. Odmawiał udzielania sakramentów, wiedząc, jak wielu szpiegów żyje wokół niego, jak wiele jest prowokacji. Właśnie widok księdza jedzącego na podłodze z dziećmi został w tej siostrze jako przykład wiary, uniżenia i godności kapłana, nawet w ekstremalnych warunkach.

Dzisiejsza praca wśród Albańczyków to próba zbliżenia ich do Kościoła jako miejsca gromadzenia

się wiernych, dzielenia się swoją wiarą i umocnienia w niej. Wiara Albańczyków, choć katolicka, podżyta jest strachem, lękiem i posłuszeństwem wobec autorytetu, nie wypływa z wolnego wyboru czy miłości.

Albania to także gościnność, hojność i wielka familiarność. Gdy jesteś dobry, otwarty, traktując cię jak swojego, zapraszają do domu, gotowi są dzielić się z tobą wszystkim, co mają. I to najczęściej ludzie ubodzy, żyjący w trudnych warunkach. Często trzeba „zapomnieć”, że nie ma w tym domu ciepłej wody, i napić się tego, co podają ze szklanki przeznaczonej dla gości. Lepiej czasem też nie wiedzieć, jak przygotowywane są ser czy mięso, którymi cię częstują.

Bywa też, że w zjednywaniu sobie ludzi potrzeba wielkiej cierpliwości. W jednym z kościołów w wiosce z pewnej rodziny zawsze przychodził tylko mężczyzna. Wielokrotnie pytałem go, gdzie reszta. Mężczyzna nie chciał odpowiadać. Był zazdrosny o żonę i nie wypuszczał jej z domu. Dopiero jak zacząłem drażnić temat i przytaczać argumenty, że my pomagamy rodzinie, dziecku w przedszkolu, a oni nie przychodzą do kościoła, pozwolił żonie przychodzić razem z córeczką.

Alida wydawała się bardzo „dzika”. Nie reagowała na pytania, chowała się za mamą. Tak było przez dwa lata, gdy chodziła do naszego przedszkola. Bus tylko po nią jeździł trzy kilometry w jedną stronę. Widząc, w jak ciężkich





warunkach przyjdzie jej się wychowywać, postaraliśmy się dla niej o dalszą edukację i pobyt u siostrze Zgromadzenia Córek Najświętszych Serc Jezusa i Maryi, gdzie teraz przebywa od niedzieli do piątku. Ma tam możliwość chodzenia do szkoły, uczenia się, jest zadbana, najedzona i umyta.

Ostatnio po skończonej Mszy Świętej w katedrze w Szkodrze, gdy wychodziłem przez kościół, zobaczyłem, jak biegną do mnie dwie dziewczynki. Jedna z nich to „stara znajoma” z przyjęcia w okresie Bożego Narodzenia sprzed roku, z którą całą godzinę graliśmy wtedy w „łapki”. Druga to właśnie Alida. Najpierw zapytały siostrę, czy mogą przywitać się z księdzem o kręconych włosach (jak mnie tu powszechnie nazywają), a gdy siostra im pozwoliła, natychmiast przybiegły. To są małe rzeczy, które rodzą się ze spotkań z rodzinami, z odwiedzaniem, z poszukiwania kontaktu.

Osobna historia to posługa w szpitalach, w których ewidentnie brakuje kapelanów. Ja nigdy nie odmawiam wyjazdu, gdy mnie proszą o sakramenty, wręcz namawiam chorych, aby dawali znać, gdyby coś się wydarzyło. Jeśli zdarza się zagrożenie życia lub pogorszenie w chorobie i jadę do szpitala, widzę wielką wdzięczność tych proszących, zdziwienie personelu szpitala, a często także innych chorych. Na sali zawsze pytam, czy mogę modlić się głośno, bo nie wiem, jak zareagują inni chorzy. Ale nigdy – chociaż czasem na sali leży tylko jeden katolik – muzułmanie nie wyrażają sprzeciwu. Normalną rzeczą jest dla nas, księży katolickich, pozdrawianie się z rodzinami muzułmańskimi i prawosławnymi, które mieszkają w wioskach. Także pomoc żywnościową dostarczamy trzem rodzinom muzułmańskim.

Mamy już piękną wiosnę, a wkrótce zawita lato z temperatu-

rami do 40 stopni. W tym roku po raz pierwszy nie zmarzłem zimą! Problemem nie jest to, co odczuwalne na zewnątrz (choć czasem, jak pada deszcz, to nawet nie za bardzo jest sens się chronić, bo i tak człowieka zmoczy), ale wewnątrz mieszkań. Nawet w naszym misyjnym budynku, który jest zadbany, temperatura spada do 14 stopni. Ale nie można narzekać, bo gdy pojedzie się do ludzi i zobaczy, jak oni żyją, człowiek docenia to, co ma. W wielu domach, nawet tych największych i „najpiękniejszych”, rzeczywistość jest taka, że zimą do spania używa się jednego pokoju dogrzanego elektrycznym grzejnikiem, a dzień spędza się w kuchni, którą ogrzewa piec, tak zwana koza. W Albanii często budowano szybko z byle czego, byleby było ładne dla oka. W wielu zawilgoconych domach często żyją starsi i dzieci. Gdy przychodzi wspomniana jesień czy zima, z powodu pleśni i wilgoci w pomieszczeniach zaczyna się czas nieustających zapaleń oskrzeli, płuc.

Albania nie jest najbiedniejszym krajem ani na świecie, ani w Europie. Jest tam po prostu wiele duchowej i materialnej biedy. Z mojego punktu widzenia to państwo może mniej potrzebuje dziś mąki i oleju, a więcej sprawiedliwości, uczciwości, polityki bez korupcji i protekcji. Potrzebuje zauważenia chorych, niepełnosprawnych, opuszczonych, ludzi w różnorodnych kryzysach i formach ubóstwa. Misjonarze, którzy przyjeżdżają do Albanii, muszą



bardzo uważać, aby nie stać się ludźmi krytyki, oceniania, deprecjonowania tego, co miejscowe.

Jeszcze wiele lat potrzeba, aby obecność księdza nie kojarzyła

się z mąką, cukierkami czy tym, że może ktoś wybuduje mi nowy dom. Jeszcze wiele lat potrzeba, aby Ewangelia, a nie tylko poczucie tożsamości:

„Jestem katolikiem”, zagościła w domach i sercach. Jeszcze wiele lat potrzeba, aby przesłanie społeczne Kościoła stało się drogowskazem dla katolików w życiu społecznym i ekonomicznym. Ale ufamy, że Bóg daje ten czas, zwłaszcza nam, Sercanom. Od 1 lipca będzie nas na albańskiej ziemi już pięciu (jeden Włoch, dwóch Polaków i dwóch współbraci z Indii). To wielka radość, ale i wyzwanie dla naszej działalności. Międzynarodowość to rzecz bardzo znamienita dla wielu miejsc na świecie, gdzie żyją Serkanie! Liczymy na Wasze wsparcie i pamięć w modlitwie, a gdyby los sprawił, że znajdziecie się w Albanii, drzwi naszych domów stoją dla Was otworem. ■



Leki dla PRZYCHODNI ZDROWIA w ALBanii

[www.misjesercanow.pl/projekty/
leki-dla-przychodni-zdrowia-w-albanii](http://www.misjesercanow.pl/projekty/leki-dla-przychodni-zdrowia-w-albanii)





KRAJ KONTRASTÓW, KRAJ MĘCZENNIKÓW

Pod koniec marca 2023 roku miałem okazję posmakować na nowo, czym jest postługa misyjna. Po latach postługi w Afryce tym razem dane mi było poznać europejski kraj, który powoli staje na nogi po latach okrutnego prześladowania i anihilowania religii. Tym krajem jest leżąca na południu kontynentu Albania...

| ks. Zbigniew CHWAJA SCJ

Jako Księża Sercanie jesteśmy w tym kraju obecni poprzez dwie wspólnoty, w których pracuje obecnie czterech księży z perspektywą zwiększenia tej liczby w najbliższych miesiącach. Parafie w Boriç (diecezja Szkodra) i Gurëz (diecezja Laç) znajdują się w północnej części kraju, malowniczej i górzystej, i obsługują również okoliczne wioski położone w bezpośredniej bliskości parafii-matki.

Kraj z orłem w herbie jest przepełniony dumą, która rozlewa się dzisiaj także poza jego granice. Jest ona namacalna w tysiącach Albańczyków, którzy po odzyskaniu wolności wyjechali za granicę w poszukiwaniu lepszej przyszłości. Historia oraz tradycja wpływają na budowanie „albańskiej tożsamości”, a dla kogoś z zewnątrz jest ona często trudna do uchwycenia. Poza strojami czy językiem wiele jej aspektów pozostaje ukrytych, nawet dla pracujących tam misjonarzy, a coś dopiero dla wizytujących turystów.

W latach 1944–1985 ten mały bałkański naród był rządzony przez całkowicie szalonego dyktatora imieniem Enver Hodża, który był określany jako „żelazna pięść” Albanii. Człowiek, który przez 40 lat trzymał Albanię w żelaznym uścisku, był żarliwym marksistą-leninistą i zagorzałym wielbicielem Stalina.

To on ogłosił Albanię pierwszym na świecie państwem ateistycznym, a jego rządy są kojarzone z ogromną falą prześladowań i poniżania ludzi, zwłaszcza



wierzących. Rozpoczynając swoją krwawą krucjatę przeciwko wierzącym, egzekutorzy Hodży dla przykładu zaczęli od spalania żywcem czterech księży franciszkanów, następnie zamienili meczety i kościoły w fabryki, a podeszłego wiekiem księdza katolickiego zamordowali za udzielenie chrztu dzieciom.

Dyktator jest odpowiedzialny za zamknięcie wszystkich kościołów i meczetów, a nawet zniszczenie kilku budynków sakralnych o bezcennej wartości kulturowej. Ze wszystkich grup społecznych duchowni i zakonnicy należeli do najbardziej poszukiwanych, byli aresztowani i torturowani.

Setki duchownych było więzionych przez dziesięciolecia bądź zmuszanych do ciężkiej pracy w kopalniach. Kościół katolicki padł ofiarą systematycznych i wyszukanych prześladowań. Represje w nie

mniej stopniu dotyczyły personelu kościelnego i świeckich, a nawet dzieci przyznających się do wiary w Boga.

Kiedy Hodża zmarł w 1985 roku, Albania była oficjalnie trzecim najbiedniejszym krajem na świecie. Nieliczni żyjący, którzy pamiętają ten okres, są dzisiaj żywymi świadkami „męczeństwa Kościoła” i opowiadają o tych mrocznych czasach m.in. odwiedzającym „turytom”, do których i ja się zaliczałem.

Słyszeliśmy z ust świadków o wyszukanych sposobach tortur, które stosowano w stosunku do księży i zakonnic. Jedna z nich szczególnie utkwiła mi w pamięci. Otóż zamykano ofiarę w dużej beczce, którą następnie przebijano wieloma gwoździami i staczano w dół z góry czy wzniesienia, odzierając w ten sposób nieszczęśnika ze skóry.

Mieliśmy też okazję odwiedzić miejsce kaźni wielu ofiar reżimu

komunistycznego w Szkodrze, które zostało odzyskane przez Kościół, a w tej chwili należy do Sióstr Klarysek i jest miejscem modlitwy. Siedem sióstr tam przebywających opowiadało swoje osobiste historie związane z tym miejscem. Między innymi ojciec jednej z nich poniósł w nim śmierć za wiarę. Surowe mury i jakże tragiczna historia tego miejsca stały się oazą spokoju i modlitwy dla tej zakonnej wspólnoty.

Prawo do praktyk religijnych zostało przywrócone pod koniec 1990 roku. Powrócili misjonarze spoza Albanii, powstają szkoły katolickie i centra medyczne obsługiwane przez wolontariuszy i ludzi związanych ze wspólnotami parafialnymi. Odbudowa Kościoła to jednak powolny i trudny proces, tym bardziej, że kraj boryka się z bardzo dużą emigracją zarobkową, zwłaszcza wśród ludzi młodych.



W ciągu trzech dekad prawie cała oficjalnie ateistyczna populacja Albanii „odzyskała religię” jako fundament wartości i punkt odniesienia. W roku 2018 odsetek samowznających ateistów spadł do mniej niż 1% populacji. Ludzie identyfikowali się przede wszystkim w swoich rodzinach z przedkomunistycznymi religiami. Obecnie około 75% to muzułmanie, 11% to katolicy, a 7% to prawosławni.

Chociaż katolicy stanowią mniejszość, cieszą się dużym szacunkiem, w tym za swoją pracę w dziedzinie edukacji i ochrony zdrowia. Podczas naszej wizyty bardzo mile wspomniano pielgrzymkę papieża Franciszka do Tirany w 2014 roku oraz beatyfikację przez Watykan 38 albańskich męczenników z czasów komunizmu w 2016 roku. To ostatnie wydarzenie

było nie tylko oficjalnym uznaniem mrocznego rozdziału w historii Albanii, lecz także podkreśleniem chrześcijańskich korzeni i łączności z Kościołem powszechnym. Błogosławionymi ogłoszono 2 biskupów, 21 księży, w tym 7 franciszkanów, 3 jezuitów, 1 seminarzystę i 4 osoby świeckie. Wszystkich uznano za ofiary prześladowań za wiarę w czasach komunistycznego reżimu.

Maria Tuci jest wśród nich jedyną kobietą. Była związana ze szkołą Zgromadzenia Sióstr Ubogich Świętego Franciszka w Szkodrze, by później zostać nauczycielką. Została aresztowana, poddana wielu torturom i zmuszana do wydania chrześcijańskich dzieci. Na koniec została umieszczona w worku wraz z kotem. Jej oprawcy wielokrotnie uderzali kota kijem, w wyniku czego Maria



zmarła od ran zadanych przez prze-
rażone zwierzę.

Kolejnym męczennikiem był niemiecki kapłan pochodzący ze Śląska Opolskiego, o polsko brzmiącym nazwisku, a mianowicie ksiądz Alfons Tracki. Ze względu na znajomość języków słowiańskich został on skierowany przez przełożonych na Bałkany. Pod niemiecką okupacją uratował wielu Albańczyków, by samem ponieść tam śmierć męczeńską.

Zastraszanie i terror zmieniły całe społeczeństwo, które dzisiaj

powoli się odbudowuje i powraca do normalnego życia. Wraz z upadkiem dyktatury sytuacja katolickiej wspólnoty po tylu latach wykluczenia była trudna. Większość społeczności katolickiej ze stolicy północnej Albanii, Szkodry, wyemigrowała. To tam teraz posługują nasi misjonarze, próbując odbudować struktury parafialne.

Ocalałe budynki zostały na nowo przekazane Kościołowi. Odremontowane sprawiają wrażenie nowych i zadbanych, jak

gdyby wszystko, co miało tu miejsce, należało do opowiadania z mchu i paproci. Nie da się jednak zapomnieć ofiary i cierpienia ludzi, którzy stali się fundamentem budowli Kościoła w Albanii, tak jak kiedyś Kościoła powszechnego w czasach apostołskich...

Choć kilka dni to zdecydowanie za krótko, by mieć szeroki i pełny obraz odradzającego się Kościoła w tym kraju, to ogólne wrażenie, jakie wywiozłem z Albanii, jest bardzo pozytywne. Nasze zaangażowanie misyjne stwarza wiele możliwości i szans na rozwój w nadchodzących latach. Szacunek, jakim darzeni są księża, i zaangażowanie ludzi świeckich dają nadzieję na budowanie prężnych i żywych wspólnot katolickich, a to jest największą nagrodą dla pracujących tam Sercanów.

Pomimo dużej emigracji zarobkowej wzrost gospodarczy kraju jest widoczny, a to stwarza możliwość powrotu dla młodych ludzi obecnie przebywających poza krajem. Poza używanym tutaj językiem albańskim dosyć powszechna jest też znajomość włoskiego, jako że te dwa kraje łączy historia i pewne tradycje. Kościół katolicki jest w tym wypadku też wspólnym punktem odniesienia.

Gościnność i otwartość lokalnej wspólnoty napawa optymizmem na przyszłość, stąd moje przekonanie, że choć Albania ciągle po części jest terenem misyjnym, to dla Kościoła staje się miejscem odzyskany. ■



Wojna na Ukrainie – relacje świadków

| ks. Piotr CHMIELECKI SCJ

„Kiedy chowany jest ukraiński żołnierz, przy jego grobie wbija się żółto-niebieską flagę. Od rozpoczęcia wojny w lutym 2022 roku byłem na Ukrainie trzy razy. Za każdym razem na cmentarzach dostrzegałem coraz więcej flag. To jest przerażający widok. Dlatego ta wojna powinna się jak najszybciej zakończyć. Modłę się za żołnierzy, modłę się za ich rodziny, modłę się o pokój, staram się pomagać, jak tylko mogę i potrafię” – pisze ks. Piotr Chmielecki SCJ, który razem z ks. Gerdem Hemkenem SCJ w marcu 2023 roku dostarczał pomoc humanitarną na Ukrainę.

KSIĄDZ GERD

Rozmawiam z księdzem Gerdem Hemkenem SCJ, który zajmuje się organizowaniem pomocy dla misji w Niemczech.

Dlaczego pojechałeś ze mną na Ukrainę?

Mam trzy powody. Po pierwsze przywiozłem ze sobą rzeczy, które przynieśli ludzie z Neustadt w Niemczech, gdzie mieszkam. Zebraliśmy żywność, kosmetyki, chemię, pieniądze. Otrzymaliśmy 2,5 tony darów, a do busa mogłem zabrać tylko 1,2 tony. Po drugie chcę zobaczyć tu, na miejscu, czego najbardziej potrzeba teraz osobom doświadczonym traumą wojny. Chcemy pomagać najbardziej konkretnie, jak się da. A trzeci powód jest taki, że w imieniu Niemców chcę powiedzieć, że stoimy po stronie Ukraińców, myślimy o nich, modlimy się za nich.

Nie bałeś się przyjechać do kraju, w którym codziennie wybuchają bomby, gdzie giną ludzie?

Pierwszy raz w życiu jestem w kraju, gdzie toczy się wojna. Widziałem dużo zdjęć z Ukrainy w internecie czy gazetach, ale to, co zobaczyłem na własne oczy, bardzo mnie dotyka. Zobaczyłem wiele kompletnie zniszczonych budynków. To przypomina mi obrazy z II wojny światowej. Porusza mnie też bieda tak wielu ludzi. Dużo ludzi uciekło, a w zniszczonych domach zostały przede wszystkim osoby starsze, które nie mogą lub nie chcą



się ewakuować. Czuję się tutaj często niepewnie. Te uczucia zaczęły się na granicy, kiedy długo czekaliśmy na wjazd na Ukrainę. Nie mogłem tego zrozumieć – nigdy w życiu nie czekałem na przekroczenie granicy. Doświadczam na Ukrainie wielu rzeczy i sytuacji, które są dla mnie zupełnie nowe.

Czy uważasz, że Niemcy są również winne tej wojnie? Dla Waszych polityków najważniejszy był biznes i tani gaz tłoczony z Rosji do Niemiec po dnie Morza Bałtyckiego...

Na pewno jedną z przyczyn tej wojny jest to, że wielu ludzi za bardzo zaufało Rosji. Biznes stał się ważniejszy od bezpieczeństwa Ukrainy. Zaufaliśmy prawie ślepo Rosji. Myśleliśmy, że po II wojnie światowej coś podobnego w Europie

już nie może się wydarzyć. Zaspaliśmy, byliśmy ślepi, braliśmy pod uwagę własne korzyści.

KSIAŁDZ RYSZARD

Z darami z Niemiec pojechaliśmy między innymi do ks. Ryszarda Dziuby SCJ, przełożonego regionalnego Księży Sercanów na Ukrainie.

Czy mężczyźni powołani do wojska z Romanowa przychodzą do Księdza porozmawiać albo się wyspowiadać, zanim wyjadą z domu?

To jest ciekawe doświadczenie, bo chłopcy, którzy przed wojną okazywali dystans czy nawet pogardę do Kościoła, do mnie, nie praktykowali wiary, teraz często przychodzą do spowiedzi przed

pójściem na front. To jest dla nich ostatni moment, żeby „spuścić ciśnienie”, o wszystkim opowiedzieć. Oni płaczą, ja też płaczę. Ale kiedy wychodzą po spowiedzi, to się wyprostowują, dopinają suwaki i ruszają odważnie w dalszą drogę, bronić swojej ojczyzny.

Katolicy to w społeczeństwie ukraińskim tylko 1,5% wszystkich obywateli. Ile było już w parafii pogrzebów żołnierzy, którzy zginęli na wojnie?

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Pochowałem sześciu chłopaków. To jest niesamowite przeżycie, kiedy do miasta przyjeżdża trumna z ciałem żołnierza. Całe miasto wychodzi na ulice, ludzie stoją w rzędzie wzdłuż ulic. Rozstawia się po trasie konduktu pogrzebowego dziesiątki, może nawet setki zniczy. W rękach ludzie trzymają flagi ukraińskie. Dzieci ze szkół też przychodzą. Kiedy samochód z trumną przejeżdża, wszyscy kłękają – oddają hołd swojemu bohaterowi.

Jak parafianie przeżywają ten trudny czas wojny?

Czasem to są bardzo trudne sytuacje i sprawy, z którymi do mnie przychodzą. Kiedyś przysłała mama zaginionego żołnierza. Od roku nie ma z nim kontaktu. Mówiła, że ma informację z rosyjskich źródeł, że jej syn zginął. Powiedziałem jej, żeby w to nie wierzyła, że Rosjanie często kłamią i on może jeszcze żyje. Ona codziennie modli się za niego. Gdy jest sama w domu, staje w oknie i wygląda, czy on wraca

ulicą do domu. Woła go po imieniu, jak nikt nie słyszy. Mówi, że serce podpowiada jej, że on żyje i słyszy jej wołanie...

LUDMIŁA I ALEKSANDER

Pomoc humanitarna z Niemiec trafiła przede wszystkim do Iziumu, miasta położonego 125 kilometrów na wschód od Charkowa. Miasto i jego mieszkańcy byli sześć miesięcy pod rosyjską okupacją. W konwoju pomocowym jechała z nami Ludmiła, żona żołnierza – mojego kolegi. Sasza jest sanitariuszem na froncie. Przełożeni dali mu dzień wolny, aby mógł po miesiącu rozłąki zobaczyć się z żoną.

Luda, jakie masz uczucia względem Rosjan? Twój mąż jest teraz na froncie z powodu wojny, którą oni rozpoczęli.

Jak powołali mojego męża do wojska, to zrozumiałam, że my, wszyscy Ukraińcy, jesteśmy jak żołnierze. Ale nie walczyliśmy z prawdziwą armią, bo nasi przeciwnicy nie walczyli tylko przeciwko naszej armii, lecz masakrują miasta, zabijają cywili. Dla mnie to nie jest wojsko, tylko organizacja terrorystyczna. Mój wujek jest wojskowym i dzięki niemu wiem, jak powinni zachowywać się żołnierze. Więc dla mnie jest oczywiste, że my nie walczyliśmy z normalną armią. Na początku wojny było mi bardzo ciężko, kiedy oglądałam zdjęcia z Irpienia, z Buczy, z Iziumu. Nigdy wcześniej nie pomyślałam nawet,



że w moim sercu może zrodzić się taka nienawiść do Rosjan, jaką wtedy odczuwałam. Ale z czasem te straszne myśli ode mnie odeszły. Teraz mam w sobie pustkę. Nie mogę nawet opisać moich uczuć. Nie czuję do nich nic. Życzę sobie tylko, żeby się wycofali z Ukrainy, żeby żyli swoim życiem, żeby nam nie niszczyli kraju i życia.

Aleksander (Sasza) zgłosił się na ochotnika czy wezwali go na front?

Wezwali go. Ale mówił mi, że czuł, że przyszedł już na niego czas. Czuł się z tym źle, że siedzi w bezpiecznej jednostce, a ludzie są potrzebni na froncie.

A jak Wasze dzieci (Maksym 14 lat, Marianna 8 lat) przeżywają to, że tata jest w wojsku?

Na początku było bardzo ciężko nam wszystkim. Kiedy mojego męża wezwali do wojska, nie mogłam opanować swoich emocji i dzieci to widziały. Nawet było tak, że to dzieci mnie uspokajały. Ale teraz widzę, że coraz bardziej tęsknią, są smutne. Nie ma takiej radości w domu, jak wtedy, kiedy byliśmy wszyscy razem. Marianka zadawała mi często pytanie, czemu jej tato został wzięty do wojska. Tylu innych mężczyzn chodzi po ulicach wioski, a nie zostali zabrani... Powiedziałam jej wtedy, że teraz Pan Bóg potrzebuje umiejętności, zdolności i talentów taty w wojsku. Na co ona mi odpowiedziała: „Dobrze, to będę się modliła za tatę, żeby powrócił z wojny. Ale tata mojej koleżanki ze szkoły nie wrócił”.



Sasza, jak wygląda bitwa, jak przebiegają walki?

Rosjanie atakują, my się bronimy. Najpierw pracuje artyleria, a potem rusza piechota. Oni idą na nas grupami po pięćdziesięciu. Mają takie tępe oczy, jakby byli zwariowani, opętani. Ostatnio mój oddział odparł jeden z takich ataków. W okopach było ośmiu naszych chłopaków: zginęło dwóch, dwóch zostało rannych. Rosjanie prawie wszyscy zostali zabici.

MIEJSCOWY BISKUP

Bazę noclegową podczas naszego wyjazdu z pomocą do Iziumu stanowił Charków. Dwie noce spędziliśmy w domu zakonnym Sióstr Honoratek. To jest dość nietypowy „klasztor”, bo siostry mieszkają po prostu w mieszkaniu w kamienicy. Zakonnice umówiły nam spotkanie z miejscowym biskupem Pavlo Honczarukiem.

Księżu biskupie, zauważyłem obok katedry „blok kontenerowy”, gdzie

pracuje CARITAS. Na kontenerach widziałem naklejki, że to dar z Polski. Od kiedy macie ten „budynek”?

To już stoi u nas od 2014 roku, bo dla nas wojna zaczęła się wtedy. Już dziewięć lat temu byliśmy blisko frontu i Charków był miejscem przyjmowania i dystrybucji pomocy, która płynęła na Ukrainę. Po wybuchu wojny na dużą skalę dostawiliśmy jeszcze namioty wszędzie, gdzie się da, bo pomocy przychodziło

tak dużo, że nie mieliśmy nawet gdzie tego magazynować. Marzec 2022 roku to był tak bardzo intensywny czas, że nie nadążałem odbierać telefonów i odpisywać na SMS-y. Teraz sytuacja się bardzo uspokoiła, dostajemy dużo mniej pomocy humanitarnej.

Jaka jest sytuacja Kościoła Katolickiego na wschodzie Ukrainy?

Przed 24 lutego 2022 roku miałem w diecezji 70 tysięcy katolików (powierzchnia diecezji to prawie 200 tysięcy km²). Teraz szacujemy, że zostało około pięciu tysięcy wiernych. Część naszego terytorium jest teraz pod okupacją rosyjską. Bardzo wielu ludzi uciekło, bo był moment, że czołgi rosyjskie stały już na przedmieściach Charkowa („Biskup nigdy nie wyjechał z miasta, choć nam kazał się ewakuować” – dodały w tym momencie





Siostry Honoratki). Słyszałem, że władze miasta chciały już kapitulować przed Rosjanami, ale sytuację w ostatniej chwili odmienił telefon prezydenta Zełenskiego, który nie zgodził się na poddanie miasta...

PANI ZINA ZABIRNIK

W Iziumie przyjechaliśmy z pomocą humanitarną przed jeden z bloków. Czekają tam na nas już sporo osób oraz liderka tej grupy z listą osób „uprawnionych” do odbioru darów. Uwagę zwracały ułożone w stos skrzynki po rosyjskich pociskach. Zostaliśmy poczęstowani herbatą i placzkami ziemniaczanymi. Jedną z osób czekających na obiór pomocy, pani Zina, zapytała mnie, czy chcę zobaczyć, gdzie mieszkała. Jej zniszczony dom znajdował się tuż obok wspomnianego

bloku. Dom został trafiony pociskiem, kiedy Rosjanie szturmowali miasto. Widać, że strzelali gdziekolwiek, tylko żeby narobić jak największej strat, żeby spustoszyć miasto. Pani Zina przeżyła ostrzał tylko dlatego, że razem z mężem i teściową chowali się w piwnicy domu. Jej teściowa zmarła po trzech miesiącach od zburzenia domu z wychłodzenia i chorób. Kobieta ostrzegła nas, żebyśmy nie chodzili po gruzowisku jej domu, bo tam mogą być jeszcze jakieś niewybuchy...

PANI TATIANA MARTYNOWA

Z pomocą humanitarną pojechaliśmy również do trzech wiosek pod Iziumem. W jednej z nich miejscem dystrybucji było przedszkole. W przedszkolu w czasie rosyjskiej okupacji żołnierze mieli koszary. Ukradli wszystko, co tylko

się dało wynieść, czyli na przykład komputery. Po wyzwoleniu wioski przez siły ukraińskie matrace z łóžeczek dzieci znajdowano w okopach. Po budynku oprowadzała nas dyrektorka Tatiana Martynowa. „Zwiedzanie” rozpoczęliśmy przed przedszkolem przy ogromnym kraterze po wybuchu pocisku rakietowego S-300. Dyrektorka praktycznie cały czas płakała. Każde zdanie o jej pracy sprzed wojny, o dzieciach powodowało potok łez... W przedszkolu hulał wiatr, niektóre z wybitych okien nie zostały jeszcze zabite deskami. Ta kobieta jest radną gminną. Kiedy byli pod okupacją rosyjską, ktoś przekazał jej informację, że jest na „liście do likwidacji”(!). Udało jej się uciec z okupowanych terenów. Wróciła, jak odeszli Rosjanie. Na pytanie, kiedy dzieci wrócą do przedszkola, odpowiada: „Myślę, że dopiero, jak skończy się wojna”. ■



Warto pomagać!

Katarzyna KROPORNICKA

Zużyte baterie, stary telefon komórkowy, zerwany srebrny łańcuszek, niebędące już dawno w użyciu klocki Lego. Przedmioty, które łatwo mogłyby trafić na śmietnik, a mogą zdziałać wiele dobrego, o czym przekonują się uczniowie biorący udział w projekcie ekologiczno-dobroczynnym „Zbieramto w szkole”.





Nasz projekt kierujemy do szkół i przedszkoli z całej Polski. Jego głównym celem jest pozyskiwanie środków na misje i niesienie wsparcia potrzebującym. Dokonuje się to poprzez przeprowadzanie w placówkach edukacyjnych zbiórek różnego rodzaju surowców wtórnych. Środki pozyskiwane ze sprzedaży tych przedmiotów firmom recydingowym zasilają fundusze budowy studni w Czadzie i Tanzanii oraz pomocy dzieciom z domów dziecka na Filipinach i w Boliwii.

Jestem dumna, widząc, ile dobra dokonało się w ciągu siedmiu lat trwania projektu! Na początku 2023 roku powstała kolejna studnia, tym razem w Lai w Czadzie. Jest to czwarta studnia w tym kraju, która została ufundowana ze środków pozyskanych z realizacji projektu „Zbieramto w szkole”. Program nieustannie się rozwija – w kolejnym roku szkolnym zamierzamy rozpocząć nowe zbiórki: ubrań oraz sprzętu AGD. Staramy się zwiększać atrakcyjność akcji, między innymi poprzez szukanie sponsorów i pozyskiwanie atrakcyjnych nagród dla szkół i przedszkoli. Placówki mogą je odbierać z wymiany punktów otrzymywanych za oddane surowce. Organizujemy nowe formuły, takie jak wielkopostny konkurs plastyczny „Pomoc bez pieniędzy”. „Zbieramto w szkole” otrzymało rekomendację Ministerstwa Edukacji i Nauki, dzięki czemu w przeciągu roku dołączyło do nas ponad 350 nowych szkół i przedszkoli. W sumie daje to ponad 1800

Zbieramto w szkole



placówek edukacyjnych, które biorą udział w projekcie!

W mojej pracy codziennie mam kontakt z koordynatorami akcji w placówkach edukacyjnych. Współpraca z nauczycielami, którzy z takim zapałem podejmują się inicjatyw wychodzących poza ich zwyczajne obowiązki, jest dla mnie niesamowicie budująca. Otrzymaliśmy wiele

reportaży, uchylających nam drzwi placówek po powrocie z nauki zdalnej. Uśmiechy nie schodziły nam z twarzy, gdy widzieliśmy, z jakim zaangażowaniem dzieci, młodzież, nauczyciele, wolontariusze i pracownicy szkół oraz przedszkoli włączają się w zbiórki. Koordynatorzy nieustannie zaskakują nas swoimi pomysłami na aktywizację

swoich podopiecznych. Nieustannie doświadczam tego, że uczestniczę w dobrym i ważnym dziele.

Wrażliwość, empatia, pomoc

„Od stycznia 2022 roku w ramach ‘Zbieramto w szkole’ w naszym przedszkolu zbieraliśmy baterie. Zbiórka cieszyła się dużą popularnością. Uzbieraliśmy ponad 50 kilogramów baterii. Mimo że akcja w naszej szkole została zakończona, to dzieci i ich rodzice nadal dostarczali nam zużyte baterie. Z racji tak dużego zainteresowania i zaangażowania nasze przedszkole postanowiło kontynuować projekt w roku szkolnym 2022/2023, rozszerzając akcję o zbiórkę innych surowców.

Nasze przedszkole bierze udział w wielu projektach, ale ten jest wyjątkowy, ponieważ spełnia dwie funkcje. Pomagamy biednym dzieciom z krajów misyjnych i równocześnie ratujemy naszą planetę. Dlatego właśnie zdecydowaliśmy się na udział w ‘Zbieramto w szkole’. Dzieci są bardzo wrażliwe na cierpienie i krzywdę innych, zarówno tych z biednych krajów, jak i dotkniętych wojną. Takie projekty uczą ich empatii, niesienia pomocy potrzebującym. Dzięki akcji mniej odpadów zanieczyszcza naszą planetę. ‘Zbieramto w szkole’ podsuwa nam gotowe pomysły do realizacji treści społecznych i ekologicznych na zajęciach z dziećmi” – podkreśla pani Elżbieta Janiuk, koordynatorka projektu „Zbieramto w szkole”

w Przedszkolu nr 64 im. Przyjaciół Kubusia Puchatka w Warszawie.

Grosz do grosza

„Szkoła Podstawowa im. Jana Pawła II w Lubatowej wraz z Oddziałami Przedszkolnymi w drugim semestrze roku szkolnego 2021/2022 przystąpiła do prawdopodobnie największego w Polsce ogólnopolskiego projektu ekologiczno-dobroczynnego ‘Zbieramto w szkole’. Zbieraliśmy małe elektrośmieci (baterie, tablety, telefony komórkowe), monety i zegarki tarczowe. Akcja trwała od stycznia do końca maja. Udało nam się zebrać i przekazać 173,2 kilograma baterii. Ponadto zebraliśmy 17 telefonów komórkowych, 1 tablet, 3 kilogramy ‘Dobrych monet’ (polskich groszy), 7 zegarków tarczowych.

Udział w programie znacząco wpłynął na rozwijanie świadomości ekologicznej wśród uczniów,

kształtował postawy szlachetności i niesienia bezinteresownej pomocy innym oraz pomógł w pozyskiwaniu pieniędzy na pomoc misjom. Na naszą akcję bardzo licznie odpowiedzieli uczniowie, gromadząc w krótkim czasie sporo baterii.

W realizację projektu (organizację zbiórek, liczenie i pakowanie surowców) zaangażowani byli uczniowie klas czwartych i piątych – członkowie działającego przy szkole Szkolnego Koła Misyjnego ‘Amigos’, nad którymi z wielką radością sprawowałam opiekę. Na bieżąco też przygotowywaliśmy gazetkę szkolną, zamieszczając na niej istotne informacje dotyczące poszczególnych zbiórek, a także promowaliśmy akcję na stronie facebookowej i internetowej szkoły.

Zdecydowałam o przystąpieniu do programu i udziale w akcji naszej szkoły również dlatego, że od dwóch lat prowadzę koło misyjne, na którym poznajemy kraje misyjne, życie

ludzi objętych pomocą misyjną, i często organizujemy w szkole różne zbiórki z przeznaczeniem na pomoc misjom. Ta inicjatywa jest wspaniałym sposobem pomocy, a przede wszystkim uczy i wychowuje zgodnie z największą wartością – dobrocią wobec drugiego człowieka” – pisze koordynatorka projektu w Szkole Podstawowej im. Jana Pawła II w Lubatowej, pani Agnieszka Sokół.

Jak dodaje pani Agnieszka: „W roku szkolnym 2022/2023 placówka zdecydowała się kontynuować zbiórkę wymienionych surowców, a jesienią wzięła udział w konkursie specjalnym ‘Dobre monety’: ‘Grosz do grosza, a będzie kokosza’ – w przysłowiu tym podkreśla się, że odkładając nawet bardzo drobne kwoty, można uzbierać naprawdę dużą sumę.

Jesienią na terenie naszej szkoły i przedszkola przeprowadzona została akcja ‘Zbieramy Dobre monety’ w ramach ‘Zbieramto w szkole’, w którym uczestniczy nasza placówka. W szkole zbiórkę ponownie zorganizowało Szkolne Koło Misyjne, w przedszkolu nad przebiegiem akcji czuwała pani Joanna Murdzek. Do akcji chętnie włączyli się: dyrekcja, nauczyciele, uczniowie i przedszkolaki wraz z rodzicami, wrzucając do przygotowanych wcześniej pudełek zgromadzone w domach monety polskie (również banknoty) i zagraniczne z całego świata.

Po zakończeniu zbiórki wolontariusze Szkolnego Koła Misyjnego





przy wykorzystaniu różnorodnych form i metod rachunkowych posegregowali i policzyli, a następnie zważyli zebrane monety. Udało nam się łącznie zebrać 25 kilogramów monet, zarówno polskich (groszy i złotych), jak i zagranicznych (których zebraliśmy 1,1 kilograma). Wszystkie monety zostały solidnie zapakowane i przekazane do organizatora.

Cieszymy się, że jako placówka mogliśmy wspólnie zaangażować się i przyłączyć do zbiórki na szczytny cel. Nasi podopieczni uczą się dzięki temu, że sami będąc dziećmi, mogą pomagać innym dzieciom – swoim rówieśnikom na innych kontynentach – oddając przysłowiowy grosz. Z pewnością wszystkie osoby zaangażowane w akcję kierują się w życiu słowami Jana Pawła II, patrona naszej szkoły: 'Człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, lecz przez to, kim jest; nie przez to, co ma, lecz przez to, czym dzieli się

z innymi'. Podzieliły się 'grosikiem' i tym samym wsparły szczytny cel charytatywny. Dziękuję za możliwość przynależenia do społeczności 'Zbieramto w szkole'.

Robimy coś ważnego

„Społeczna Szkoła Podstawowa STO w Siedlcach w roku szkolnym 2021/2022 postanowiła przyłączyć się do akcji zbiórki 'Dobrych monet'. Naszą motywacją była chęć pomocy dzieciom z domu dziecka w Santa Cruz w Boliwii.

Pierwszym etapem działań było nagłośnienie akcji. Wydrukowane zostały plakaty informacyjne. Wszyscy uczniowie zostali wprowadzeni w temat poprzez specjalne lekcje związane z akcją oraz filmy ukazujące realne wsparcie dzięki 'Dobrym monetom'. Następnie przygotowano specjalne stałe miejsce zbiórki. Wolontariusze odwiedzali wszystkie klasy i zbierali datki

osobiście. Monety były na bieżąco ważone, a ich masa odnotowywana w zeszycie.

Aby przyspieszyć akcję i zwiększyć jej efektywność, w roku 2022/2023 w trakcie szkolnego balu karnawałowego klasa ósma zorganizowała kiermasz, podczas którego za odpowiednią masę monet można było kupić ciasto, gofry, popcorn i inne smakołyki. W ciągu bardzo krótkiego czasu udało się uzbierać 23,2 kilograma monet. Dzięki akcji wolontariusze mogli uczyć się współpracy w grupie i odkrywać swoje mocne strony w zakresie organizowania się. Podczas kiermaszu czuli, że robią coś ważnego, znaczącego. Zauważyli, że nie tylko pieniędzmi można wspierać innych, ale także wspólną pracą. Wszystkie osoby, które przyłączyły się do zbiórki, uczyły się wrażliwości na potrzeby innych, a także odpowiedzialności za drugiego człowieka.

Akcja zbiórki 'Dobrych monet' przyniosła same pozytywne rezultaty – również w rozwoju uczniów. Cieszymy się, że mogliśmy wesprzeć dzieci z domu dziecka w Santa Cruz w Boliwii” – pisze pani Anna Kowalik, koordynator zbiórki w Społecznej Szkole Podstawowej STO w Siedlcach.

Warto pomagać!

Ksiądz Maciej Burdyński już trzeci rok pełni rolę koordynatora zbiórek w Szkole Podstawowej nr 1 oraz w Przedszkolu nr 1 w Ornie. Szkoła przyłączyła się do zbiórki baterii, telefonów oraz monet. „W ramach zbiórki 'Dobrych monet' Szkolne Koło Caritas zorganizowało konkurs 'Utucz świnkę'. Udział w nim wzięli uczniowie klas od pierwszej do czwartej wraz z wychowawcami. Każda z klas na

tydzień otrzymywała dużą szklaną skarbonkę, którą należało 'utuczyć'. Dzięki akcji udało się zebrać ponad 100 kilogramów monet. Motywacją do wzięcia udziału w konkursie była chęć niesienia pomocy najbardziej potrzebującym, wśród których pracują misjonarze sercańscy. Klasa, która zebrała najwięcej 'Dobrych monet', otrzymała świnki-skarbonki oraz inne nagrody (puzzle, smycze, ołówki), a wychowawcy torby ekologiczne na zakupy” – relacjonuje ksiądz Maciej.

Przedszkole nr 1 w Ornie również dołączyło się do zbiórki „Dobrych monet” oraz baterii. „Towarzyszyła nam radość z faktu, że udało się zebrać ponad 150 kilogramów zużytych baterii. Pani dyrektor, dzieci i ich rodzice, pracownicy pedagogiczni i obsługi pamiętają, że zużyte baterie przynosimy do przedszkola i składamy

do oznakowanego kartonu. 'Warto pomagać!' to hasło, które towarzyszyło naszej zbiorce. Już od najmłodszych lat warto uwrażliwiać serca dzieci na osoby znajdujące się w trudnej sytuacji losowej”.

Serdecznie zapraszam wszystkich do włączenia się w akcję i podjęcia wspólnych działań na rzecz misji i środowiska naturalnego w Waszych szkołach i przedszkolach. Będzie to zarazem dobra okazja do promowania postaw dobroczynności i współpracy wśród młodego pokolenia. Razem możemy więcej!

*Katarzyna Kropornicka
opiekun „Zbieramto w szkole”*

zbieramto
w szkole 

Jesteś nauczycielem i chcesz zachęcić uczniów do pomocy innym? Dołącz do projektu „Zbieramto w szkole”! Możesz zorganizować zbiórkę surowców w szkole, przedszkolu czy na uniwersytecie i uzyskać nagrody dla uczestników.

Jak dołączyć do „Zbieramto w szkole”?

Zarejestruj się na stronie:

WWW.ZBIERAMTOWSZKOLE.PL

Masz pytania?
Skontaktuj się z Kasią,
koordynatorką projektu –

tel. 507 481 511
(w godzinach 8:00 – 15:00)

kontakt@zbieramtowszkole.pl.





„DOBRE MONETY” POMAGAJĄ DZIECIOM Z BOLIWI

| ks. Piotr CHMIELECKI SCJ

To była moja pierwsza podróż międzykontynentalna. Celem była Brazylia – Światowe Dni Młodzieży w Rio de Janeiro w 2013 roku. Szukałem najtańszego połączenia lotniczego, a efektem przyjęcia tego kryterium najniższej ceny był istny lot dookoła świata: Warszawa – Londyn – Nowy Jork – São Paulo. W tym przypadku dłuższy lot okazał się jednak błogostawieństwem... Szczególnie dla dzieci z domu dziecka w Boliwii.

Jako niedoświadczony podróżnik postanowiłem na wszelki wypadek zakupić wszystkie waluty krajów, które będę odwiedzał tranzytem. Płatności mobilne nie były jeszcze wtedy tak popularne, bałem się też niekorzystnych przeliczników walutowych stosowanych przez banki. Podczas przesiadki w Londynie wszedłem do kiosku, żeby kupić wodę i kanapkę. Zapłaciłem kilka funtów, a całą resztę z dwudziestki otrzymałem w monetach. Gdy patrzyłem na tę stertę złomu, która miała ze mną podróżować następne dwa tygodnie, dotarło do mnie, że jednak lepiej było zapłacić kartą. Nie musiałem jednak długo męczyć się z tym moim nadbagażem. Pod koniec lotu do Nowego Jorku wyświetlono nam film o charytatywnych działaniach linii lotniczych British Airways w Afryce. W kieszeniach foteli, gdzie umieszcza się prasę, instrukcje bezpieczeństwa, torebkę na śmieci itp., każdy pasażer mógł znaleźć również kopertę na złożenie datków, o które apelowali organizatorzy akcji. Pomyślałem, że to genialny sposób, żeby pozbyć się moich brytyjskich monet. Stewardesy przeszły pomiędzy pasażerami i pobierały koperty. Po przekazaniu tego daru od razu zaświtała mi myśl, że jest to akcja idealnie wpisująca się w koncepcję naszego projektu „Zbieramto”! Jednak, jak to często bywa z genialnymi pomysłami, ich subiektywny (czy nawet obiektywny) geniusz musi pokonać daleką drogę do wdrożenia w życie.

Potrzebowałem prawie dwóch lat, żeby wcielić w życie pomysł

zbierania resztek pieniędzy w postaci monet i banknotów w różnych walutach. Przez ten czas pomysł, który zrodził się podczas tamtej podróży do Brazylii, dojrzewał. Odbylem wiele spotkań, konsultacji, powstała specjalna strona internetowa. Docelowymi partnerami miały być biura pielgrzymkowe, szczególnie te, które organizują wyjazdy autokarowe. Pielgrzymki wracające na przykład z Włoch jadą do Polski przez Austrię i Czechy lub przez Słowację, a czasem zahaczają nawet o Węgry. Kilka krajów, kilka walut, dużo walutowych resztek – po prostu wymarzone okoliczności dla akcji, którą ostatecznie nazwaliśmy „Dobre monety”.

Upadki i wzloty

Przeprowadziłem co najmniej kilkanaście rozmów z właścicielami biur pielgrzymkowych. Jeden

z nich po wysłuchaniu mojej opowieści powiedział mi tak: „Nobel za pomysł, ale nie obiecujemy, że pomożemy, bo chcąc uczestniczyć w tej akcji, musielibyśmy obciążyć kolejnym obowiązkiem pilotów pielgrzymek”. Nagrody Nobla nie dostałem, a biuro podróży współpracy nie podjęło. Tak samo jak i wiele innych, które zapraszałem do tego charytatywnego działania. To jednak nie był koniec moich klęsk, które poniosłem, próbując wdrożyć ten dobroczynny pomysł. Jednym z głównych narzędzi wspierających zbieranie „Dobrych monet” było stworzenie strony internetowej, która stanowiła wręcz portal, sprofilowany właśnie pod biura pielgrzymkowe. Założenie było takie, że będziemy publikować dokładne wyniki zbiórki w poszczególnej grupie pielgrzymkowej, każdą walutę, każdego centa, a na koniec wszystko zostanie





przeliczone na polskie złote. Do stałej współpracy z nami przystąpiło... jedno biuro pielgrzymkowe. Współpracowaliśmy około półtora roku. W trakcie jednego roku współpracy ich klienci ofiarowali na pomoc misjom ponad 20 tysięcy złotych. Tuż przed wybuchem pandemii COVID-19 właściciel tej agencji podróżów zadzwonił do mnie jednak z informacją, że kończymy współpracę. Jako powód podał konieczność skupienia się na swoim obszarze pracy i chęć wyłączenia wszystkiego, co rozprasza i nadmiernie obciąża pilotów. Uważam, że głupio wyszło w tej sytuacji, bo za dwa miesiące nasza współpraca rozwiązałaby się sama – branża turystyczna się zatrzymała.

Z biurami pielgrzymkowymi zupełnie nam się nie udało. To jednak nie oznaczało, że pomysłu nie da się realizować z innymi podmiotami i osobami. Zaczęliśmy propagować zbiórkę „Dobrych monet” w naszych materiałach misyjnych, w szkołach i przedszkolach, które uczestniczą w programie „Zbieramto w szkole”, oraz przeprowadzać zbiórki w parafiach. Inicjatywa okazała się trafiona – z roku na rok zaczęliśmy zbierać coraz

więcej kilogramów monet (i oczywiście również banknoty), a coroczne podsumowania akcji pokazywały coraz wyższe kwoty, które mogliśmy przekazywać na misje.

Miedziaki z fontanny

Najdziwniejsza historia, związana w darowanymi nam monetami, wydarzyła się w Krakowie. W pewną niedzielę głosiłem kazania w sercańskiej parafii przy ulicy Saskiej. Apelowaliśmy wtedy również o pomoc dla misji, którą organizujemy w ramach „Zbieramto”. Moje słowa były związane z wdrażaniem w tej parafii projektu „Zbieramto w parafii”, czyli okresowych zbiórek makulatury, elektrośmieci, złomu, a przy okazji starych czy niepotrzebnych pieniędzy. Po kilku dniach odebrałem telefon od człowieka zarządzającego jedną z krakowskich galerii handlowych. Powiedział, że ma do przekazania 300–400 kilogramów monet wyłowionych z galeryjnej fontanny. O ile na początku działalności tego centrum handlowego ochrona radziła sobie jakoś z monetami wrzucanymi „na szczęście”, to z czasem przestała nad tym panować. Jak szczerze przyznał jeden

z pracowników: „Kiedyś to można było tam jeszcze coś znaleźć” (mając na myśli złotówki i euro), ale z czasem zaczęły lądować tam praktycznie same miedziaki. Monety, które przekazało nam to centrum handlowe, były w strasznym stanie, po prostu zardzewiały – niektóre tak bardzo, że nie dało się rozpoznać nominału czy kraju pochodzenia. My jednak byliśmy bardzo uradowani tym darem. Pełni szczęścia dopełnił fakt, że po zważeniu okazało się, że dostaliśmy ich aż 800 kilogramów! Szacuję, że wartość tej darowizny wynosiła około 10 tysięcy złotych. Nasze wieloletnie doświadczenie pokazuje, że kilogram miedziaków, czyli mieszanki monet 1, 2 i 5 groszy to równowartość tylko 10 złotych. Tę dość specyficzną darowiznę musieliśmy jeszcze przetransportować do Lublina, do jednego z naszych biur misyjnych. Stamtąd jeden z naszych wolontariuszy zabierał monety partiami do swojego domu rodzinnego na wieś, gdzie je... „prał” – wrzucał do betoniarki razem z piaskiem i w taki sposób oczyszczał. Dalej trzeba było odsiać piasek od monet i prawie gotowe... Jeszcze kilka wizyt w NBP, gdzie panie w kasie zawsze „błogosławiły” naszego przedstawiciela, kiedy widziały, co przynosi.

Podobną darowiznę dostaliśmy w Krakowie jeszcze raz. Na szczęście było to już tylko 300 kilogramów monet. Przy tej drugiej darowiznie nie zostałem poinformowany, że centrum handlowe zlikwidowało fontannę.

Know-how

Nasze zbiórki „Dobrych monet” wymagają pewnego rodzaju wiedzy na temat zagranicznych walut, chociażby tego, jak wyglądają monety poszczególnych krajów. Zagraniczne monety są skupowane przez kantory. Segregujemy je na poszczególne waluty: funty brytyjskie, dolary amerykańskie i kanadyjskie, korony duńskie, norweskie oraz czeskie, franki szwajcarskie, marki niemieckie, szylingi austriackie oraz wiele, wiele innych. Pewną ciekawostką stanowi fakt, że ciągle można wymieniać nieobowiązujące już waluty wielu krajów, gdzie aktualnie płaci się w euro. Pozostałe monety oraz polskie pieniądze z okresu PRL-u skupują od nas numizmatycy. Widziałem kiedyś, że jeden z naszych partnerów wystawił

na aukcji internetowej polską monetę z czasu słusznie minionego za 50 tysięcy złotych! Był to tzw. destruktmenniczy. Nieraz zadaję sobie pytanie, czy to nie była moneta kupiona od nas... Tego raczej nie dowiem się nigdy, bo niestety nie jesteśmy w stanie idealnie określić wartości wszystkich monet i banknotów, które do nas trafiają.

Komu pomagamy

Na koniec jeszcze słowo o beneficjentach zbiórki „Dobrych monet”. Są nimi dzieci, które mieszkają w Domu Nadziei – domu dziecka w Santa Cruz w Boliwii, prowadzonym przez polskie Siostry Serafiki. Wiele z tych dzieci mieszkało ze swoimi rodzicami w...

więzieniu! Prawo boliwijskie na to zezwala. Były świadkami przemocy, przemycały broń i narkotyki, były wykorzystywane seksualnie. Teraz są bezpieczne. Polskie zakonnice robią co tylko w ich mocy, aby wyleczyć dzieci z traum, wychować je w duchu chrześcijańskim, przygotować na powrót do społeczeństwa i zapewnić im uczciwe życie. Skuteczność tych wysiłków jest mocno powiązana ze wsparciem, jakie płynie z Polski. Dzięki naszym dotacjom zakonnice mogą zatrudniać terapeutów, psychologów, lekarzy, a także fundować dzieciom muzyczne lub sportowe zajęcia pozalekcyjne. To, czy na te wydatki wystarczy pieniędzy, zależy również od zbiórki „Dobrych monet” w naszej ojczyźnie. ■



zbieramto 

ZBIERAMY

MONETY I BANKNOTY

będące aktualnie w obiegu lub wycofane z użycia:

WSZYSTKIE PIENIĄDZE ŚWIATA np. euro, dolary, funty, korony PIENIĄDZE WYCOFANE Z OBIEGU np. polskie z PRL, marki niemieckie	POLSKIE GROSZE I ZŁOTÓWKI 1, 2, 5, 10, 20, 50 gr; 1, 2, 5 zł MONETY KOLEKCYJERSKIE np. 2 zł i 5 zł Nordic Gold
--	--

JAK WYŚLAĆ „DOBRE MONETY”?
Prosimy o nadawanie listów poleconych lub paczek:
 Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów,
 ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn
 tel. 537 411 405 • e-mail: kontakt@misjesercanow.pl

RAPORT Z REALIZACJI WYBRANYCH PROJEKTÓW MISYJNYCH **w 2022 roku**

KOSZT
378 517 zł



BUDOWA KAPLICY I KOŚCIOŁA na nowej misji w Czadzie

Ksiądz Jakub Szalek rozpoczął tworzenie nowej misji na obrzeżach miasta Lai w listopadzie 2021 roku. Zwrócił się do nas o pomoc w sfinansowaniu niezbędnej infrastruktury, aby kontynuować działalność ewangelizacyjną w tym miejscu. Projekt zakłada budowę kaplicy, kościoła, szkoły i studni.

Za pieniądze naszych Darczyńców w Lai stanął budynek, który będzie pełnił funkcję kaplicy, a także sali do nauczania katechezy i spotkań formacyjnych. Na potrzeby nowej misji w Czadzie otrzymaliśmy tak dużo ofiar, że funduszy wystarczy także na budowę kościoła (w stanie surowym), która już się rozpoczęła. To wielka radość dla misjonarza i jego parafian. Wcześniej Eucharystia odbywała się w cieniu wielkiego drzewa. Było to piękne doświadczenie, ale nie podczas wichury czy ulewy. Teraz Eucharystia będzie mogła być odprawiana bez względu na warunki pogodowe.



**na REALIZACJĘ WSZYSTKICH
PROJEKTÓW MISYJNYCH W 2022
ROKU WYDAŁIŚMY**

4 976 033 zł

Piekarnia hostii w Angoli

Luanda to największa z trzech sercańskich wspólnot w Angoli. Misjonarze prowadzą tutaj parafię oraz niższe seminarium. Ważnym obszarem działania jest sklep z przedmiotami religijnymi, który zaopatruje diecezje w całym kraju w materiały liturgiczne.

W związku ze swoją działalnością Sercanie pracujący w Luandzie marzyli o budowie piekarni chleba eucharystycznego (wcześniej hostie były sprowadzane z Portugalii drogą morską, co wpływało na ich wysoką cenę). Dzięki temu, że zebraliśmy wystarczającą kwotę na zakup maszyn do wypieku hostii, udało się zrealizować to marzenie. Teraz produkcja komunikantów jest tańsza, a ich sprzedaż bardziej opłacalna. Cenne jest również to, że wspólnota zakonna może utrzymać się z własnej pracy.



ODBUDOWA SZKOŁY W UGANDZIE

Pabo to miejsce, gdzie przez wiele lat istniał obóz dla ludności przesiedlonej podczas wojny domowej w Ugandzie. W czasie wojny rebelianci wielokrotnie atakowali obóz, w wyniku czego ucierpiały także budynki szkolne. Dzięki wspólnemu zaangażowaniu księdza Davida Okullu, Krzysztofa Błażycy z Fundacji Sorudeo Africa oraz Darczyńców Sekretariatu Misji udało się odbudować i wyremontować szkołę parafialną w Pabo.

W budynku zostały naprawione ściany i na nowo położono dach. Wyremontowano sale lekcyjne, które zostały wyposażone w ławki i tablice. Aby zapewnić odpowiednie warunki sanitarne uczniom i pracownikom szkoły, zbudowano także blok latryn z wentylacją. Dzięki tym działaniom 1200 dzieci i młodych ludzi zagrożonych demoralizacją ma szansę na edukację i lepsze perspektywy na przyszłość.

INTENCJE MSZALNE DLA MISJONARZY

Misjonarze posługują najczęściej wśród bardzo ubogich ludzi. Nasze projekty pomocowe skierowane są właśnie do tych, do których misjonarze przychodzą z Ewangelią. Sami księża także potrzebują wsparcia w codziennym utrzymaniu: muszą kupić żywność, odzież, zapłacić za paliwo czy naprawę samochodu. Możemy ich wesprzeć poprzez zamawianie intencji mszalnych.

Przyjmujemy intencje mszalne:

- + jednorazowe
- + gregoriańskie
30 Mszy św. za jedną osobę zmarłą
- + nazaretańskie (do Dworu Niebieskiego)
30 Mszy św. za osoby żyjące
- + wieczyste

KONTAKT:

ks. Marek Przybyś SCJ

tel. 797 535 622

e-mail: modlitwa@misjesercanow.pl





DRODZY DARZYŃCY,

każdego roku możemy przekazywać misjonarzom coraz większą pomoc finansową. Jesteśmy Państwu za to niezwykle wdzięczni. Jest to też dla nas wielkie zobowiązanie – rosnące liczby świadczą o Waszym zaufaniu do nas i misjonarzy, którzy realizują projekty ewangelizacyjne i charytatywne. Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów określamy jako „most” pomiędzy Darczyńcami a misjonarzami i ich podopiecznymi. Każdego dnia wytrwale pracujemy, aby

wypełnić to zadanie łączenia tych, którzy chcą pomagać, z potrzebującymi, którym misjonarze głoszą Dobrą Nowinę. Wielką radością jest dla nas fakt, że pomocą materialną wspieramy także misjonarzy nienależących do grona Księży Sercanów: siostry zakonne, księży diecezjalnych, misjonarzy świeckich. Dziękujemy Wam, że razem tworzymy Sercańską Rodzinę Misyjną!

W. Piotr Chwielecki

Zastępca Sekretarza Misji Zagranicznych
Księży Sercanów w Polsce

DOWÓD/POKWITOWANIE DLA ZLECENIODAWCY

nr rachunku odbiorcy	79 1600 1462 1847 3641 5000 0008
odbiorca:	Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów ul. Rakowa 11 10-185 Olsztyn
kwota:	
zleceniodawca:	
tytułem:	☐ Ofiara na misję – tam, gdzie najbardziej potrzeba ☐ Budowa studni w Czadzie ☐ Bezpieczna Mama – ratujemy noworodki w RŚA ☐ Dożywianie i edukacja dzieci na Filipinach /lub inny cel:/ ☐



opłata:

nazwa odbiorcy	Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów
nazwa odbiorcy cd.	ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn
nr rachunku odbiorcy	7 9 1 6 0 0 1 4 6 2 1 8 4 7 3 6 4 1 5 0 0 0 0 0 0 8
waluta	W P P L N
kwota	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy c.d.	
tytułem	☐ Ofiara na misję – tam, gdzie najbardziej potrzeba ☐ Budowa studni w Czadzie ☐ Bezpieczna Mama – ratujemy noworodki w RŚA ☐ Dożywianie i edukacja dzieci na Filipinach /lub inny cel:/ ☐
06	
pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy	
Opłata:	

BIURO W OLSZTYNIE

ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn ▪ tel. +48 537 411 405

BIURO W LUBLINIE

ul. Radzyńska 3a, 20-850 Lublin ▪ tel. +48 507 481 511

BIURO W WARSZAWIE

ul. Łowicka 46, 02-531 Warszawa

WWW.MISJESERCANOW.PL

www.zbieramto.pl | www.zbieramtowszkole.pl | www.coriss.pl

Dane do przelewów:

Nr rachunku PLN: 79 1600 1462 1847 3641 5000 0008Nr rachunku DOLAR: PL 52 1600 1462 1847 3641 5000 0009
SWIFT: PPAB PLPKNr rachunku EURO: PL 41 1600 1462 1847 3641 5000 0013
SWIFT: PPAB PLPK**KRS 0000 794 610**
Fundacja Missio Cordis**misje****SERCAŃSKI MAGAZYN MISYJNY****WYDAWCA**Fundacja Missio Cordis,
ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn**ADRES REDAKCJI**

ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn

KONTAKT

kontakt@misjesercanow.pl

REDAKTOR NACZELNA

Dorota Pośpiech

PROJEKT GRAFICZNY

Mateusz Miernik

ASYSTENT KOŚCIELNY

ks. Zbigniew Chwaja SCJ

AUTORZY TEKSTÓWs. Anna Kurysz SSCJ, Małgorzata Madej,
Dorota Pośpiech, Katarzyna Kropornicka,
Izabela Cywa, Jakub Talaga, ks. Zbigniew
Chwaja SCJ, ks. Piotr Chmielecki SCJ,
ks. Jarostaw Grzegorzczak SCJ, ks. Tadeusz Fac,
ks. Tomasz Fajt, ks. bp Adam Musiałek SCJ**ZDJĘCIA**

materiały Sekretariatu Misji Zagranicznych

KOREKTA

Katarzyna Tran Trang

ZESPÓŁ KOREKTORSKIKrystyna Jakaczyńska, Urszula Kempa-
Adamczyk, Milena Leszczyńska-Sowirka,
Joanna Nowak, Agnieszka Wojcieszek**ADMINISTRATOR DANYCH OSOBOWYCH**Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego (Księża
Sercanie) Prowincja Polska – Sekretariat Misji Zagranicznych
Księży Sercanów, ul. Łowicka 46, 02-531 Warszawa.**Dane kontaktowe:** Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Ser-
canów, ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn, e-mail: kontakt@misjeser-
canow.pl, telefon: 537 411 405.**1. Dane osobowe są przetwarzane w celu:****1.1. W celu przekazania darowizny**Jeśli decydują się Państwo przekazać nam darowiznę, Państwa
dane osobowe przetwarzane są w celu rozliczenia otrzymanych
darowizn oraz ewentualnego kontaktu z darczyńcą w celu prze-
słania podziękowań za przekazaną darowiznę. Przetwarzanie
danych Darczyńców w celu rozliczenia otrzymanych darowizn
jest naszym obowiązkiem i wynika z przepisów prawa.
Natomiast podanie przez Państwa danych takich jak numer
telefonu lub adres e-mail w celu umożliwienia nam kontaktu
z Państwem odbywa się za Państwa zgodą. Wyrażenie zgody jest
dobrowolne.Dane Darczyńców przetwarzanych w celu rozliczenia darowizny
będziemy przetwarzać przez 5 lat liczonych od roku następującego
po roku ostatniej czynności księgowej. Dane wykorzystywane do
celów analitycznych będziemy przetwarzać przez 5 lat liczonych
od roku momentu zakończenia analizy danych. Natomiast dane
kontaktowe będziemy przetwarzać do czasu odwołania przez
Państwa zgody.**1.2. W celu skontaktowania się z nami**Moga Państwo kontaktować się z nami poprzez wysłanie wia-
domości e-mail lub telefonicznie. Podanie danych osobowych w celu
uzyskania kontaktu jest dobrowolne, za Państwa zgodą. Zakres
przetwarzanych danych osobowych zależy od tego, z jaką sprawąPaństwo się do nas zwracają (np. przesłanie oferty i nawiązanie
współpracy, darowizna, sprawy związane z realizacją czy udziałem
w projektach itp.).**1.3. Zostawienia komentarza w mediach społecznościowych**Jeśli kontaktują się Państwo z nami za pośrednictwem mediów
społecznościowych: (Facebook) – wysyłając wiadomość pry-
watną, udostępniając posty lub zostawiając komentarz – prze-
tworzymy Państwa dane osobowe, którymi posługują się Państwo
w tych mediach. Korzystanie z powyższych kanałów jest dobro-
wolne i odbywa się za Państwa zgodą.**2. Wycofanie zgody na przetwarzanie danych osobowych**Zgodę, udzieloną na przetwarzanie danych osobowych w celach
kontaktowych oraz w ramach realizacji projektu, mogą Państwo
wycofać, wysyłając oświadczenie o treści: „Wycofuję zgodę na
przetwarzanie danych osobowych w zakresie adresu e-mail/
nr telefonu (proszę podać adres e-mail)” mailowo (na adres:
kontakt@misjesercanow.pl), listownie lub składając je osobiście
w siedzibie Administratora danych osobowych.Wycofanie zgody może być złożone wyłącznie przez właściciela
danych osobowych. Administrator danych osobowych zastrzega
sobie prawo weryfikacji tożsamości osoby wycofującej zgodę
w celu zapewnienia prawidłowej realizacji uprawnień.**3. Udostępnianie danych osobowych**

Zgromadzone dane osobowe mogą być udostępniane m.in.:

- dostawcom systemów informatycznych oraz podmiotom współpracującym w celu wykonywania czynności technicznych koniecznych do zapewnienia bezpieczeństwa tych systemów;
- podmiotom świadczącym usługi pocztowe i kurierskie zgod-
nie z prawem pocztowym w celu prowadzenia korespondencji
tradycyjnej;

- podmiotom świadczącym usługi korespondencji e-mail, takim
jak GetResponse;

- systemów bankowych lub instytucji płatniczej – Przelewy 24 – za
pomocą której realizowane są wpłaty.

Ujawnianie danych osobowych prowadzone jest zgodnie z obo-
wiązującymi przepisami prawa oraz wyłącznie w sytuacjach, gdy
jest to niezbędne w celu realizacji i rozliczania świadczonych usług
z zapewnieniem poufności przetwarzanych danych osobowych.
W przypadku korzystania z mediów społecznościowych dane
osobowe będą przetwarzane w krajach, mogących nie zapewnić
dostatecznego poziomu ochrony danych osobowych, np. w USA
lub innych krajach, w których dostawcy mediów mają swoje ser-
wery przetwarzające dane. Dane osobowe mogą być przeglądane
i gromadzone przez amerykańskie służby (NSA, FBI, CIA), a Wła-
ściciele danych nie mają możliwości dostępu do sądowych środ-
ków prawnych w celu obrony przeciwko przetwarzaniu danych
osobowych przez te służby.**4. Prawa właścicieli danych osobowych**W związku z prowadzonym przetwarzaniem mają Państwo prawo
żądania:

- dostępu do swoich danych osobowych i ich poprawiania zgodnie
z przepisami,
 - ograniczenia przetwarzania swoich danych osobowych,
 - usunięcia swoich danych osobowych w przypadku danych prze-
tworzonych na podstawie udzielonej zgody.
- Przysługuje Państwu także prawo złożenia skargi do Prezesa
Urzędu Ochrony Danych Osobowych.

W sprawach związanych z ochroną danych osobowych
należy kontaktować się z inspektorem ochrony danych:
ks. Marek Stokłosa, ul. Łowicka 46, 02-531 Warszawa,
tel. 22 849 43 51.



ZBIERAAMY SREBRNĄ I ZŁOTĄ BIŻUTERIĘ

Prosimy o przekazywanie
niepotrzebnych | zniszczonych | starych:

BIŻUTERII

łańcuszków, kolczyków, medalików,
pierścionków, bransoletek itd.

monet

SZTUĆCÓW

BUDUJEMY STUDNIE W CZADZIE I TANZANII

Zebrana biżuteria jest przekazywana jubilerowi,
a on nadaje jej nowe życie – powstają krzyżyki sercańskie,
dewocjonalia i biżuteria, które można nabyć w sklepie
internetowym www.coriss.pl

JAK WYŚLAĆ STARĄ BIŻUTERIĘ?

Prosimy o wysyłanie listów poleconych lub paczek na adres:

Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów,
ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn

tel. 537 411 405

e-mail: kontakt@misjesercanow.pl



COR/SS

piękno, które pomaga

Bizuteria i dewocjonaia Coriss powstają z przekazywanego nam starego złota i srebra, któremu dajemy drugie życie.

Kupując w naszym sklepie internetowym, pomagasz misjonarzom budować studnie głębinowe w Afryce.

WWW.CORISS.PL

tel. 504 090 168



coriss.jewellery



coriss_jewellery